9 771898 308011 37

# POLSKA

19 lat

METROPOLIA WARSZAWSKA

**Poniedziałek, 7.09.2026**
Nr 72 (2583)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

MAGAZYN • STR. 6–9

## Co knuje Władimir Putin?

**Rosja jest jak nowotwór, który próbuje od środka zainfekować i rozsadzić państwa Unii Europejskiej – mówi Jarosław Wolski**

www.i.pl

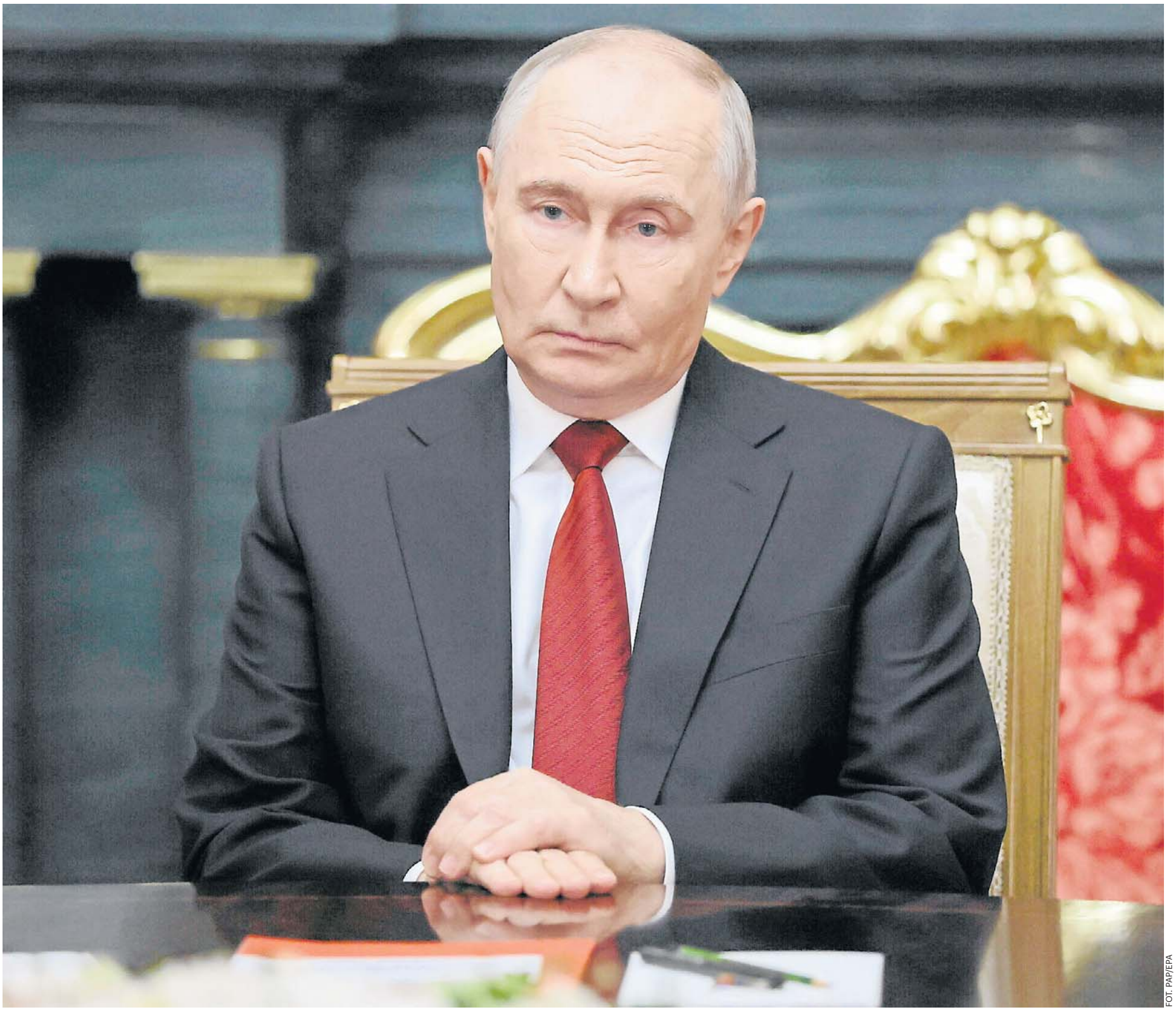

FOT. PAP/EPA

*DZIŚ W NUMERZE*
- *Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

MAGAZYN • STR. 11

### Zaginęła 27 lat temu. Co się stało z Aldoną z Ostrowąsa?

MAGAZYN • STR. 15

### „Żandarm z Saint-Tropez", czyli Francja, której już nie ma

MAGAZYN • STR. 16

### 88-letni kapitan Baranowski samotnie walczy z oceanem

eprasa.pl bb0228af9d

**POLECAMY**

PIĄTEK: Po aferze z rządową promocją Polski pozostaje pytanie: jak reklamować nasz kraj

# 7.09.2026
# Poniedziałek

**Dziś imieniny:** Reginy, Melchiora, Ryszarda
**Telefon alarmowy:** 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

**Redaktor naczelny**
Arlena Sokalska
**Z-ca redaktora naczelnego**
Agaton Koziński
**Redaktorzy**
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

**www.i.pl**

**Polska Press**
**Makroregion Wschód**
**Redakcja**
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
**Prezes Makroregionu**
Aureliusz Mikos
**Dyrektor reklamy**
Witold Trzciński
**Biuro reklamy oddziału**
tel. 698 635 707
**Druk**
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

**Wydawca Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
**p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy**
Elżbieta Żuraw
**Redaktor naczelny Polska Press Grupy**
Marek Twaróg
**Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG**
Tomasz Bocheński
**Dyrektor kolportażu PPG** Tomasz Osoliński
**Biuro Konsumenta PPG**
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

**Marek Mazurkiewicz**
publicysta

## **Po co komu** Trybunał?

Z końcem sierpnia rząd ogłosił projekt ustawy budżetowej na 2027 r. Wydatki mają osiągnąć rekordowy poziom - 977,6 mld złotych, dochody mają być o 282,6 mld złotych niższe. Usprawiedliwieniem dla - także rekordowego - deficytu ma być ogromny wysiłek finansowy, jaki my - podatnicy - ponosimy na obronność (198,1 mld złotych). Ogromne koszty generuje też ochrona zdrowia, na którą państwo ma wydać 274,1 mld złotych. Sztandarowe programy socjalne, czyli „800+", 13. i 14. emerytury oraz „babciowe", będą kosztować w sumie niebagatelną kwotę prawie 100 mld złotych.

Na liście wydatków państwa na przyszły rok zabraknie jednak jednej pozycji. W budżecie nie ujęto finansowania Trybunału Konstytucyjnego. Przedstawiciele rządu, z premierem na czele, wskazują, że dla Trybunału zaplanowano „zero" złotych, bo do resortu finansów nie dotarł prawidłowo przygotowany jego plan wydatków i dochodów. Próba „zagłodzenia" TK jest kolejną odsłoną trwającego od 2015 r. sporu o jego znaczenie w polskim ustroju. 10 lat temu rząd Beaty Szydło ubezwłasnowolnił Trybunał szeregiem ustaw i zabiegów prawnych. W praktyce wyłączył ten kluczowy bezpiecznik polskiej demokracji.

Przez kolejne lata jego znaczenie dla państwa i społeczeństwa systematycznie spadało. Aż trudno uwierzyć, że dekadę temu „majstrowanie" przy TK wyprowadzało tysiące ludzi na ulice. Dziś większe społeczne emocje wzbudzi sukces Igi Świątek niż naprawa „strażnika" naszych praw i wolności.

**Ryszard Tadeusiewicz**
profesor AGH

## **Ludzie, roboty** i... emocje

Nadchodzi czas, kiedy roboty będą nam towarzyszyły w pracy, a potem także w domu. Dzisiejsze roboty przemysłowe nie przypominają ludzi - prędzej odnóża owadów, szybko i zręcznie wykonujące różne czynności związane na przykład z montażem samochodów. W fabryce jest to możliwe, bo środowisko, w jakim pracują te roboty, zostało dostosowane do ich kształtów i działania.

Ale robot zatrudniony jako pomocnik w sklepie, w biurze czy w domu powinien mieć kształty i proporcje podobne do człowieka, ponieważ w tych środowiskach wszystkie sprzęty zostały zaprojektowane tak, by mógł ich wygodnie używać człowiek. Więc robot będzie musiał upodobnić się do człowieka.

Ale to budzi emocje!

Napisałem książkę dla dzieci (komiks!) zatytułowaną „Alicja w krainie przyszłości", na której okładce (tylnej) jest pytanie: „Czy można się zaprzyjaźnić z robotem?". W książce jest odpowiedź na to pytanie, ale oparta na bajce o robocie Basi, który kontaktuje się z Alicją i oswaja ją z problematyką sztucznej inteligencji. W efekcie czytania tej bajki można odnieść wrażenie, że z robotem można się zaprzyjaźnić, biorąc pod uwagę sumę jego zalet, ale dostrzegając także jego wady.

Ale problem emocji ludzi w kontaktach z robotami nie jest bajką. To będzie rzeczywistość, i to wcale nie taka odległa!

Dlatego podjęte zostały badania psychologiczne mające dostarczyć konstruktorom robotów wiedzę o tym, jak trzeba je budować, żeby wywoływały u ludzi pozytywne emocje.

W 2011 roku zagadnienie to badała prof. Ayse Pinar Saygin z Uniwersytetu Kalifornijskiego. Za pomocą badań aktywności mózgu u 20 osób w wieku od 20 do 36 lat wykazała ona, że widok człekokształtnego robota wywołuje silne reakcje emocjonalne widoczne w korze mózgowej. Obraz człowieka albo robota nie człekokształtnego w analogicznej sytuacji takiej reakcji nie wywoływał.

Pierwszą sprawą jest powierzchowność. Robot powinien przypominać człowieka, ale nie udawać, że nim jest naprawdę. Dlatego kształty elementów robota, zwłaszcza głowa i twarz, muszą naśladować kształty ludzkie, ale niezbyt nachalnie, bo to ludzi drażni. Japoński badacz Masahiro Mori opisał w 1970 roku poruszany tu problem, wprowadzając nazwę „dolina niesamowitości".

Termin ten opisuje udowodnione empirycznie zjawisko rosnącej (początkowo) sympatii ludzi do robotów, gdy te coraz bardziej przypominają ludzi, ale do pewnej granicy. Gdy owa granica zostaje przekroczona, duża sympatia gwałtownie zmienia się w antypatię, a nawet w odrazę!

Dlatego większość budowanych obecnie człekokształtnych robotów ma głowę przypominającą hełm motocyklisty (robot Asimo) lub bardzo uproszczoną maskę (robot NAO). Pracuje się nad projektem twarzy robota pozwalającej na ujawnianie emocji, ale są to prace badawcze, dalekie jeszcze od praktycznej produkcji i oferty rynkowej.

Na stosunek ludzi do robotów wpływa też ich zachowanie. Badano, jak ludzie przyjmują takie czy inne zachowania robotów, z którymi grali w różne gry. Robot grający perfekcyjnie nie budził sympatii. Natomiast robot, który czasem się mylił (bo tak był zaprogramowany), był w ocenie ludzi sympatyczniejszy, nawet jeśli jego pomyłki powodowały stratę u ludzkiego gracza (przy grach zespołowych).

Przeprowadzono jeszcze jeden, bardziej brutalny eksperyment. Robot nie tylko się mylił, ale oszukiwał i łamał zasady gry (wykonywał niedozwolone ruchy). Gniewało to uczestniczących w rozgrywce ludzi - krzyczeli na robota, cofali nielegalne ruchy, odchodzili od gry itp. Ale po zakończonej rozgrywce wskazali tego robota oszusta jako sympatyczniejszego niż drugiego, który grał bezbłędnie i ściśle przestrzegał reguł!

Jak widać, doskonałość wcale nie jest lubiana - także w kontaktach z robotami!

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

**tel. 12 312 53 88**
**bok.prenumerata@polskapress.pl**
**prenumerata.polskatimes.pl**

**KRÓTKO**

**Polacy na Białorusi**

### Andrzej Poczobut o powrocie na Białoruś

Planowany na połowę września zjazd Związku Polaków na Białorusi ze względów bezpieczeństwa nie odbędzie się w tym terminie; został przeniesiony na marzec 2027 r. - poinformowała w sobotę prezes ZPB Andżelika Borys.
Andrzej Poczobut, który wyszedł na wolność w kwietniu, powiedział, że planuje wyjazd na Białoruś już w przyszłym tygodniu. - Proszę sobie wyobrazić, ile sił Polska oddała na wsparcie mniejszości polskiej na Białorusi, ile sił oddano na wspieranie Związku Polaków na Białorusi w ciągu tych wszystkich lat. Ja tam jadę nie z motywów osobistych. To jest sprawa, której poświęciłem znaczącą część swojego życia, i chcę, by ta sprawa funkcjonowała, by związek się rozwijał - podkreślił.
**PAP**

eprasa.pl bb0228af9d

WOJNA W UKRAINIE

# Witkoff i Kushner znów negocjują

Wysłannicy prezydenta USA Donalda Trumpa, Steve Witkoff i Jared Kushner, po raz pierwszy przybyli do Ukrainy, aby omówić kwestię rozmów pokojowych. Wcześniej w Moskwie spotkali się z Władimirem Putinem

**Robert Szulc**

Amerykańscy negocjatorzy przyjechali do Kijowa w ramach wysiłków dyplomatycznych Waszyngtonu, mających na celu zakończenie wojny rosyjsko-ukraińskiej.

Witkoff i Kushner pojawili się w ukraińskiej stolicy dzień po wizycie w Moskwie, gdzie przeprowadzili ponad trzygodzinne rozmowy z przywódcą Rosji Władimirem Putinem.

Jak poinformował portal Ukrainska Prawda, przed spotkaniem z Putinem amerykańscy negocjatorzy spędzili 3,5 godziny na lunchu z doradcą rosyjskiego przywódcy Kiriłłem Dmitrijewem, który wcześniej brał udział w negocjacjach.

Na początku spotkania na Kremlu Witkoff powiedział Putinowi, że czekając na niego, rozmawiał z Kushnerem o tym, że na emeryturze ciepło będzie wspominał swoje rozmowy z rosyjskim przywódcą. „Amerykańscy przedstawiciele skrupulatnie przygotowali się do tej podróży. Nie tylko potwierdzili swoje zwyczajowe zainteresowanie szybkim zakończeniem działań wojennych, ale także przedstawili szereg pomysłów na możliwe ścieżki dojścia do porozumienia" – powiedział dziennikarzom doradca Kremla Jurij Uszakow.

FOT. PAP/EPA

**Witkoff i Kushner pojawili się w ukraińskiej stolicy dzień po wizycie w Moskwie, gdzie rozmawiali z Putinem**

Kiriłł Dmitrijew, doradca Władimira Putina ds. inwestycji i współpracy gospodarczej, ocenił wizytę specjalnych wysłanników prezydenta USA w Moskwie jako „ważną wizytę pokojową".

W sobotę późnym wieczorem, merykańscy negocjatorzy zostali odwiezieni na lotnisko Wnukowo. Według danych portalu Flightradar24, monitorującego ruch lotniczy, samolot Witkoffa i Kushnera, powracających z Moskwy, wylądował w Polsce, w Rzeszowie, około godz. 2.30 w nocy z soboty na niedzielę. Lotnisko znajduje się około 100 km od granicy z Ukrainą i od dawna pełni rolę jednego z głównych węzłów logistycznych zachodniej pomocy wojskowej dla Kijowa.

Chociaż wysłannicy Trumpa od 2025 r. są zaangażowani w negocjacje dotyczące pokoju między Rosją a Ukrainą, nigdy w tym czasie nie odwiedzili ukraińskiej stolicy. Kilkakrotnie byli w Moskwie, spotykając się m.in. z Putinem.

Portal Axio twierdzi, że tematem sobotnich rozmów w Moskwie były prawdopodobnie m.in. sankcje wobec Rosji. Dwa dni wcześniej amerykański przywódca Donald Trump deklarował, że wysłał negocjatorów do Moskwy i Kijowa z „propozycją zakończenia wojny". Urzędnik Białego Domu, pragnący zachować anonimowość, powiedział w nocy z soboty na niedzielę, że podczas wizyty w Moskwie Witkoff i Kushner omówili z przywódcą Rosji Władimirem Putinem „znaczące plany na następne kroki, które zostaną ogłoszone w nadchodzących tygodniach".

Wcześniej prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski uczestniczył w spotkaniu z ukraińską grupą negocjacyjną przed rozmowami z przedstawicielami prezydenta Stanów Zjednoczonych. Szef państwa oświadczył, że Ukraina chce zakończenia wojny z Rosją, a jej propozycje na ten temat są gotowe.

W związku z rozmowami Putin polecił w sobotę wstrzymać na trzy dni, do poniedziałku, ataki na Kijów. Prezydent Zełenski zapewnił, że jeżeli Rosjanie będą przestrzegać tej deklaracji, Ukraina nie będzie w tym czasie atakować Moskwy.

PAP

REKLAMA
0011548563

Ochrona ludności i obrona cywilna

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji

MINUTA DLA TWOJEGO BEZPIECZEŃSTWA

Znasz sygnały alarmowe?
Wiesz, gdzie się schronić?
Jak spakować plecak ewakuacyjny?
Jak reagować na zagrożenia?

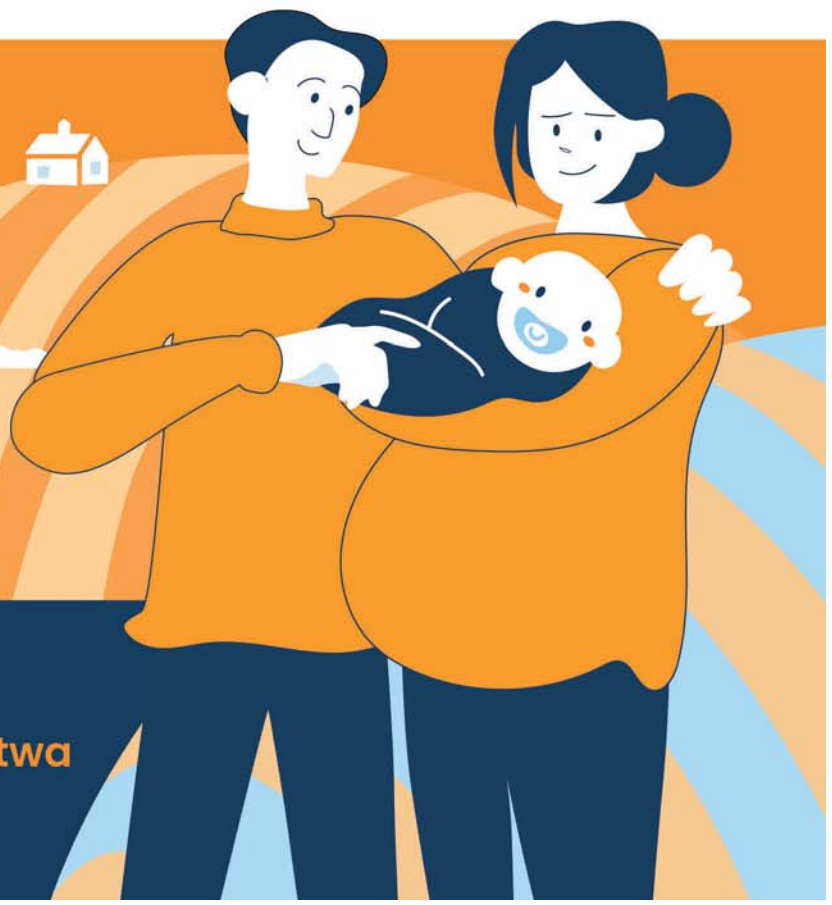

TVP 1

Oglądaj program
Minuta dla Twojego bezpieczeństwa
sobota 14:15, niedziela 18:25

eprasa.pl bb0228af9d

AFERA ZONDACRYPTO

# Śledztwo w sprawie Zondacrypto nabiera tempa, są kolejne zatrzymania

Po piątkowej burzy w Sejmie dotyczącej Zondacrypto, prokuratura podejmuje kolejne kroki w śledztwie. W sobotę policjanci zatrzymali na terenie woj. śląskiego Romana Ż. Do zatrzymania doszło w związku z obawą ucieczki

**Karolina Wrońska**

W piątek Sejm nie odrzucił trzeciego prezydenckiego weta ws. ustawy o rynku kryptoaktywów. Premier Donald Tusk głosowanie przeciwko ustawie nazwał „samobójstwem politycznym". Ujawnił też fragment zeznań głównego świadka w aferze Zondacrypto.

Przed głosowaniem nad trzecim prezydenckim wetem ws. ustawy o rynku kryptoaktywów premier z mównicy sejmowej odniósł się do śledztwa ws. giełdy kryptowalut Zondacrypto. Powiedział o „szokującej infiltracji środowisk politycznych przez ludzi zaangażowanych w ten proceder".

Głosowanie przeciwko ustawie nazwał „de facto samobójstwem politycznym". Dodał, że „działalność ludzi zaangażowanych w proceder Zondacrypto, szczególnie gdy nie jest to uregulowane, to główne źródło finansowania aktów sabotażu". Zwracając się do polityków PiS premier powiedział: – Jeśli nie jesteście trzymani za gardło przez tych ludzi, to zagłosujcie za tą ustawą – powiedział. – To, że ludzie Zondacrypto od dłuższego czasu wpływali, czy próbowali wpływać na działania waszego rządu, waszych instytucji, nie ulega wątpliwości – dodał.

Do słów Tuska odniósł się także na antenie Telewizji Republika Zbigniew Ziobro, były szef MS, który przebywa obecnie w USA. Oświadczył, że nigdy nie rozmawiał z szefem Zondacrypto Przemysławem Kralem nawet telefonicznie. Przyznał, że Kral chciał się z nim spotkać w czasie, gdy on przebywał w Budapeszcie, lecz dwukrotnie odmówił mu takiego spotkania. Wyjaśnił, że w międzyczasie dowiedział się, iż firma Zondacrypto „uczestniczyła w procesie legislacyjnym w Sejmie". Zastrzegł, że (ta) okoliczność nie została przekazana wtedy, kiedy środki zostały przeznaczone i przelane na fundację.

FOT. PAP/ART SERVICE

W sobotę zatrzymany został Roman Ż., wieloletni wspólnik zaginionego Sylwestra Suszka

Z kolei prezes PiS Jarosław Kaczyński powiedział, że nie bierze pod uwagę tego, co Donald Tusk mówił przed głosowaniem ws. prezydenckiego weta do ustawy o rynku kryptoaktywów. Tam były kłamstwa - oświadczył szef PiS. Według niego, wypowiedź premiera, to element operacji, której celem jest kompromitacjach prawicy.

Rzecznik rządu Adam Szłapka argumentował, że premier Donald Tusk ujawnił informację dot. śledztwa Zondacrypto, bo wymaga tego interes i dobro państwa. - Jak wiemy, kryptowaluty są wykorzystywane także w transakcjach pomiędzy osobami odpowiedzialnymi za sabotaż. Wykorzystują to obce służby - powiedział Szłapka. Zaznaczył, że premier otrzymał informacje dot. śledztwa od Prokuratora Generalnego Waldemara Żurka na podstawie ustawy o prokuraturze.

Śledztwo ws. Zondacrypto zostało wszczęte przez Prokuraturę Regionalną w Katowicach w kwietniu pod katem oszustw znacznej wartości i prania brudnych pieniędzy. Dotychczas wpłynęło kilka tysięcy zawiadomień o przestępstwie.

W sierpniu śledztwo ws. Zondacrypto połączono ze śledztwem ws. zaginięcia Sylwestra Suszka, które prowadzi delegatura Prokuratury Krajowej w Katowicach. Suszek to założyciel giełdy kryptowalut BitBay, czyli poprzedniczki Zondacrypto. Zaginął w marcu 2022 r. Ostatni raz był widziany na stacji paliw należącej do Mariana W. ps. „Maniek".

Następcą Suszka został Przemysław Kral - obecnie kluczowa postać w śledztwie dot. upadku giełdy kryptowalut. Pod koniec sierpnia media podały, że Kral współpracuje z prokuraturą, chcąc uzyskać statusu tzw. małego świadka koronnego (osoba mająca ten status może skorzystać z nadzwyczajnego złagodzenia kary za przestępstwa popełnione wraz z innymi, pod warunkiem współpracy z organami ścigania).

Biznesmena w śledztwie reprezentują adwokaci Roman Giertych i Jacek Dubois. Jak przekazał Giertych, w trakcie czynności procesowych Kral przedłożył do dyspozycji prokuratury majątek do zaspokojenia roszczeń pokrzywdzonych.

W ramach śledztwa zatrzymano i aresztowano prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosława Piesiewicza. Przedstawiono mu zarzuty płatnej protekcji oraz zaspokajania grupy wierzycieli Zondacrypto z pokrzywdzeniem innych osób w związku z grożącą giełdzie kryptowalut niewypłacalnością. Nie przyznał się do winy.

PAP

REKLAMA
0011547864

eprasa.pl bb0228af9d

NIEMCY

# Czy AfD idzie po władzę w Niemczech?

Przeciwnicy napędzanej posępnymi nastrojami społecznymi AfD próbują zatrzymać jej marsz po władzę w Saksonii-Anhalcie, mobilizując do „strategicznego głosowania" na partie walczące o przekroczenie progu wyborczego

**oprac. Karolina Wrońska**

W niedzielę mieszkańcy Saksonii-Anhaltu wybierali nowy landtag. Prawicowo-populistyczna Alternatywa dla Niemiec jest zdecydowanym faworytem wyborów. W ostatnich sondażach to antyestablishmentowe ugrupowanie uzyskuje od 40 do 43 proc. poparcia. Stoi przed szansą, by po raz pierwszy sięgnąć po władze na poziomie kraju związkowego.

Niemiecka prasa głosowanie w Saksonii-Anhalcie określa jako „potencjalnie historyczne", nazywa także „wyborami ostatniej szansy dla kanclerza Friedricha Merza". Wszyscy rozmówcy w Saksonii-Anhalcie podkreślają jedno - kwestia poparcia lub sprzeciwu wobec AfD absolutnie zdominowała kampanię, spychając na dalszy plan sprawy lokalne.

Przeciwnicy AfD są optymistami, bo ich zdaniem sukces przyniesie kampania promowania „głosowania strategicznego". Chodzi w niej o to, by głosować na walczące o przekroczenie wyborczego progu SPD lub Zielonych i w ten sposób pomóc im wejść do landtagu.

FOT. PAP/EPA

**Likalny lider AfD Ulrich Siegmund oraz jego żona Julia podczas kampanii wyborczej**

Założenie jest proste: jeśli oba ugrupowania znajdą się w parlamencie, to zwiększy się liczba mandatów przypadających partiom innym niż AfD i zmniejszy szansa, że to ugrupowanie utworzy rząd.

W Magdeburgu, stolicy Saksonii-Anhaltu, mobilizacja przeciwko AfD jest szeroka, od kościołów przez organizacje pozarządowe po związki zawodowe. Pod koniec sierpnia w mieście odbył się „strajk migrantów". Na kilka godzin zamknięto ponad setkę lokali, w tym sklepów, restauracji czy zakładów fryzjerskich, prowadzonych przez osoby o takim pochodzeniu. Była to odpowiedź na postulaty niektórych polityków AfD dotyczące konieczności masowych deportacji, wzorowanych na tych w USA.

Profesor socjologii na Uniwersytecie Nauk Stosowanych Magdeburg-Stendal Rahim Hajji wskazuje, że na wschodzie Niemiec jest słabsze zaufanie do instytucji oraz większa podatność na teorie spiskowe. Znaczenie mają odmienne postawy wobec migracji, polityki klimatycznej oraz wojny Rosji przeciwko Ukrainie. – Są ludzie, którzy czują się niepewnie ekonomicznie, podkreślam słowo „czują" – mówi Hajji.

W rozmowach prowadzonych w Saksonii-Anhalcie regularnie wraca też doświadczenie transformacji po 1990 roku – poczucie, że instytucje i zasady zostały „urządzone przez innych", wraz z odpływem młodych ludzi na zachód i osłabieniem zakorzenienia tradycyjnych partii. Jak zauważa Hajji, AfD jest dziś szczególnie silna wśród robotników i osób o średnim poziomie wykształcenia, ale nie można jej opisywać wyłącznie jako partii ekonomicznego protestu.

Na wynik wyborów oddziałuje jednocześnie polityka federalna. Lokalni politycy w Magdeburgu przyznają nieoficjalnie, że rząd CDU/SPD w Berlinie powoduje, że mają „wiatr w oczy". Powszechne niezadowolenie z kanclerza, polityki gospodarczej, emerytalnej czy systemu ochrony zdrowia ma być przenoszone na wybory, które formalnie dotyczą władz landu. Merz mimo tego zaangażował się w ostatnią fazę kampanii. Jego wizycie w landzie nie towarzyszył jednak wiec ani spotkania z mieszkańcami. „Der Spiegel" oceniał, że szef rządu prowadzi kampanię w „trybie incognito" i stał się raczej obciążeniem niż atutem dla polityków CDU prowadzących kampanię. PAP

REKLAMA
0011568966

51. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH
21-26.09.2026 GDYNIA

ORGANIZATORZY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny
Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury
POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
Współfinansowanie: Polski Instytut Sztuki Filmowej
60 lat Stowarzyszenie Filmowców Polskich
PREZYDENT MIASTA GDYNI
MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

WSPÓŁORGANIZATORZY
75 NARODOWE CENTRUM KULTURY
TVP

MECENASI
Energa GRUPA ORLEN
LOTTO

SPONSOR GŁÓWNY
INVEST KOMFORT

PARTNERZY STRATEGICZNI
Mercedes-Benz BMG Goworowski Autoryzowany dealer Mercedes-Benz
Dr Irena Eris
KGHM POLSKA MIEDŹ
PORT GDYNIA

OGÓLNOPOLSCY PATRONI MEDIALNI
TVP
Jedynka POLSKIE RADIO
Trójka POLSKIE RADIO
VOGUE
BAZAAR
FILMWEB
zwierciadło
KINO
interia
POLSKA PRESS GRUPA

LOKALNI PATRONI MEDIALNI
Radio Gdańsk
trojmiasto.pl
Dziennik Bałtycki
TVP3 GDAŃSK

PARTNERZY MEDIALNI
nam! naszemiasto.
urody

eprasa.pl bb0228af9d

POLITYKA

# Jarosław Wolski: Federacja Rosyjska jest jak nowotwór. Próbuje od środka rozsadzić państwa Unii Europejskiej

– Polexit byłby spełnieniem rosyjskich marzeń. Kreml intensywnie pracuje nad podważaniem zaufania Polaków do NATO, wzmacnia eurosceptyczne środowiska i wykorzystuje historyczne zaszłości, aby skłócić Polskę z Ukrainą – mówi Jarosław Wolski, publicysta i cywilny analityk wojskowy zajmujący się bezpieczeństwem, obronnością oraz wojną w Ukrainie

Anita Czupryn

FOT. JOHN MACDOUGALL/AFP/EAST NEWS

Wolski: Status państw bałtyckich jest o tyle delikatny, że jakiekolwiek podważenie udzielonych im gwarancji sojuszniczych wysadziłoby w powietrze wiarygodność NATO

**Napisał pan, że Rosja zgromadziła siły odpowiadające ponad trzem armiom. Co pana zdaniem zamierza z nimi zrobić?**

Prawdopodobnie Rosjanie będą prowadzili działania mylące na poziomie strategicznym, czyli będą starali się stworzyć wrażenie, że ponownie chcą wejść do takich miast jak Czernihów czy Kijów. Te działania mogą też oznaczać ponowne wkroczenie od północy na terytorium Ukrainy. Moim zdaniem będą to jednak raczej działania pozorowane, których celem będzie związanie bardzo dużych sił ukraińskich na północy, tak aby niemożliwe było ratowanie wojsk ukraińskich w Donbasie.

**Dlaczego premier Donald Tusk powiedział o krytycznych siedmiu-ośmiu miesiącach? Co może się w tym czasie wydarzyć: Rosja mocniej uderzy na Ukrainę czy bezpośrednio zaatakuje NATO?**

Uważam, że z dużym prawdopodobieństwem należy to rozumieć jako czas, w którym Rosjanie będą starali się militarnie przechylić szalę konfliktu na swoją korzyść. Będą też próbowali doprowadzić do implozji Ukrainy od środka: przez ostateczne zniszczenie ukraińskiej energetyki i wywołanie gigantycznego kryzysu humanitarnego. W Donbasie podejmą próbę zajęcia Konstantynówki, Trymogorska i Łubiańska. Potem mogą dążyć do jakiejś formy negocjacji z pozycji siły. Prawdopodobnie będą również, co zresztą już widzimy, prowadzić szereg działań dywersyjnych w Polsce i innych państwach NATO.

**Czy Putin ma dzisiaj dość wojska, żeby walczyć w Ukrainie i jednocześnie zaatakować państwo NATO?**

Prowadzenie dwóch pełnoskalowych wojen, jednej w Ukrainie i drugiej, na przykład przeciwko któremuś z państw NATO, jest bardzo mało prawdopodobne. Nie chodzi tylko o liczbę żołnierzy, czołgów czy dział, lecz przede wszystkim o brak środków wsparcia i zaplecza. Rosjanie mają za mało lotnictwa, systemów walki radioelektronicznej i obrony przeciwlotniczej; za mało tego wszystkiego, co buduje masę mięśniową wojny. Jeżeli spojrzymy wyłącznie na liczbę czołgów, dział i żołnierzy, być może mieliby siły, żeby otworzyć drugi kierunek strategiczny, na przykład estoński. Jeśli jednak zapytamy, czy mają wystarczające możliwości wspierania tych wojsk, odpowiedź brzmi: nie. Dlatego pełnoskalowa agresja jest bardzo mało prawdopodobna. Nie znaczy to jednak, że nic nie może się wydarzyć; możliwa jest na przykład jakaś forma agresji hybrydowej. Terroryzm i sabotaż już obserwujemy. Widzimy, co Rosjanie robią w Niemczech, Polsce i innych krajach.

**Czy Rosja ma możliwość przeprowadzenia quasi-hybrydowej agresji przeciwko państwom bałtyckim?**

Może próbować, ale moim zdaniem to również mało prawdopodobny scenariusz z powodu braku wsparcia, o którym mówiłem.

**Co byłoby dla Putina największym sukcesem: zajęcie kolejnego fragmentu Ukrainy czy pokazanie, że NATO nie potrafi podjąć wspólnej decyzji?**

Cele Rosji nie zmieniły się od 2021 roku. Pierwszym jest podbicie i podporządkowanie sobie Ukrainy oraz przejęcie jej zasobów: włączenie wschodniej i południowo-wschodniej części kraju do Rosji, a w Kijowie osadzenie marionetkowego rządu, który będzie realizował wolę Kremla. W nieco ograniczonym wariancie Rosjanie chcieliby pełnej neutralizacji Ukrainy, demilitaryzacji jej armii i prawdopodobnie możliwości ingerowania w ukraińską politykę. To krótkoterminowy cel, określony już w grudniu 2021 roku i nadal podtrzymywany. Drugim celem jest udowodnienie, że NATO nie działa i nie broni swoich członków, wycofanie wojsk Sojuszu z Litwy, Łotwy i Estonii oraz częściowa neutralizacja Polski. Rozumiem ją jako zakaz stacjonowania w Polsce wojsk NATO, zakaz posiadania przez Polskę pewnych systemów uzbrojenia i próbę zneutralizowania naszego kraju w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego. To samo dotyczy Finlandii, ponieważ jej przystąpienie do NATO jest dla Rosji bardzo dużym problemem. Krótkoterminowo chodzi więc o podbicie Ukrainy i ustanowienie tam marionetkowego rządu, a długoterminowo – o wypchnięcie NATO z dawnej przestrzeni postsowieckiej i Europy Środkowej.

**Dlaczego w tym kontekście mówi się przede wszystkim o Litwie, Łotwie i Estonii? Które z tych państw byłoby najtrudniej obronić?**

Trzeba pamiętać, że państwa bałtyckie są bardzo specyficzne, a operacja ich obrony byłaby bardzo skomplikowana i krwawa. Mieszka tam liczna mniejszość rosyjska; w Estonii i na Łotwie stanowi ponad 20 procent ludności, a to może ułatwiać ataki hybrydowe i agresję poniżej progu wojny, a także tworzyć naturalne zaplecze dla kolaborantów. Rosja rości sobie pretensje do tych państw między innymi ze względu na mieszkającą w nich mniejszość rosyjską. Część tej społeczności ma autentyczne poczucie krzywdy i bycia obywatelami drugiej kategorii. Oczywiście źródłem problemu jest rosyjski i sowiecki kolonializm z okresu II wojny światowej i pierwszych dekad powojennych. Pamiętajmy, że te trzy państwa zostały zajęte przez Związek Sowiecki w latach 1939–1940, a potem brutalnie potraktowane przez Stalina. Następnie przez pół wieku były terenem rosyjskiego osadnictwa i kolonizacji. Rosjanie uważają te obszary za w pewnym sensie własne i sądzą, że mają prawo decydować o państwach bałtyckich.

**Dlaczego ich bezpieczeństwo jest tak ważne także z punktu widzenia Polski?**

Status państw bałtyckich jest o tyle delikatny, że jakiekolwiek podważenie udzielonych im gwarancji sojuszniczych wysadziłoby w powietrze wiarygodność NATO. Innymi słowy, gdyby NATO albo Polska nie zareagowały i nie wypełniły zobowiązań wobec państw bałtyckich, sens istnienia Sojuszu zostałby podważony.

eprasa.pl bb0228af9d

Wrócilibyśmy wtedy do sytuacji geopolitycznej nie z lat 90., lecz z lat 30. XX wieku: dużemu mocarstwu wolno zajmować i urządzać swoją przestrzeń geostrategiczną tak, jak uważa za słuszne. Dla nas byłaby to katastrofa, jeszcze większa niż konieczność prowadzenia długotrwałej operacji obronnej na rzecz państw bałtyckich.

**Czy Rosja mogłaby postawić NATO przed faktem dokonanym, zanim sojusznicy ustaliliby, jak odpowiedzieć?**

Myślę, że nie, ponieważ NATO doskonale zna tego rodzaju metody działania Rosjan. Dlatego w państwach bałtyckich utrzymywana jest stała wysunięta obecność Sojuszu: niewielkie jednostki z wielu państw. Chodzi o stworzenie sił typu tripwire, czyli takiej obecności, która sprawia, że agresja na państwo bałtyckie od pierwszej chwili oznacza konflikt z wieloma członkami NATO. Poza tym zarówno NATO, jak i państwa bałtyckie są świadome zagrożeń hybrydowych i polityki faktów dokonanych. W zasadzie od 2014 roku przygotowują się do takich scenariuszy, jak terroryzm państwowy, zielone ludziki, agresja hybrydowa czy żądania wysuwane pod pretekstem ochrony mniejszości narodowych.

**Po co i z jakim przesłaniem dyrektor CIA poleciał osobiście do Moskwy?**

Ze wszystkich dostępnych przecieków i komentarzy wynika, że było to ostrzeżenie dla Putina, sprowadzające się do prostego przesłania: Stany Zjednoczone podtrzymują zobowiązania wobec państw bałtyckich, a USA i NATO zaangażują się w ich obronę, jeżeli Rosja podejmie działania agresywne. Prawdopodobnie była to główna oś wizyty dyrektora CIA w Moskwie. Tak wynika z medialnych przecieków. Część źródeł dodaje, że rozmawiano również o bardzo intensywnym rosyjskim wsparciu dla Iranu. Wydaje się jednak, że zasadniczą kwestią było bardzo stanowcze postawienie sprawy państw bałtyckich i przekazanie, że USA będą bronić integralności NATO.

**NATO oficjalnie mówi, że Rosja nasila ataki hybrydowe, ale nie widzi bezpośredniego zagrożenia wojną. Ta ocena powinna nas uspokajać?**

To jest dokładnie to, o czym już mówiłem. Rosja nie ma obecnie sił i środków na dużą, pełnoskalową wojnę z NATO, na przykład próbę jednoczesnego zajęcia trzech państw bałtyckich. Nie oznacza to jednak, że nie będzie próbowała innych działań. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu mieliśmy w Polsce akty sabotażu i próbę podpalenia fabryki w Skarżysku-Kamiennej, w Niemczech doszło do ataków na elektrownię, a wcześniej do aktów dywersji i sabotażu na kolei, które tylko cudem nie zakończyły się gigantyczną katastrofą. Rosja już prowadzi działania kinetyczne, sabotaż i terroryzm wobec państw NATO, w tym Polski. To nie jest więc pytanie, kiedy to nastąpi. To już się dzieje.

**Powiedział pan kiedyś, że NATO nie walczyłoby z Rosją tak jak Ukraina. Jak zatem wyglądałaby taka wojna? Czy byłoby to konwencjonalne starcie?**

Przede wszystkim NATO ma znacznie większe możliwości rażenia celów w głębi terytorium Rosji. Ukraińcy próbują to robić za pomocą coraz bardziej zaawansowanych bezzałogowców albo własnych pocisków manewrujących. NATO dysponuje jednak dużo większymi możliwościami niszczenia celów w głębi strategicznej Rosji, na przykład zakładów produkujących bezzałogowce czy pociski. Nie wyglądałoby to tak jak obecnie w Ukrainie, która miejscami nie ma realnej możliwości odpowiedzi albo jej odpowiedź nie jest tak skuteczna, jak chcieliby Ukraińcy. NATO ma zdolność skutecznej odpowiedzi i wydaje się, że Rosja jest tego świadoma.

**Co jest dziś większym zagrożeniem: zaplanowane działania wojenne czy prowokacje, przez które sytuacja może wymknąć się wszystkim spod kontroli?**

Pani redaktor, to pytanie z gatunku: co było gorsze w XIX wieku, grypa czy cholera? Problem polega na tym, że Rosja znakomicie opanowała operacje psychologiczne i informacyjne w państwach NATO. Także w Polsce mamy partie polityczne i ruchy społeczne, które dążą na przykład do polexitu i podważają jedność NATO. To bardzo poważny problem. Rosjanie są jak nowotwór, który próbuje od środka zainfekować i rozsadzić państwa Unii Europejskiej. Udało się to w przypadku Wielkiej Brytanii i brexitu, kiedy bardzo sprytnie wykorzystano naturalne problemy tego kraju. Ta sama polityka ma skłócić Polaków i Ukraińców, co częściowo już się udało na bazie zaszłości historycznych. Rosjanie bardzo intensywnie pracują także nad podważeniem zaufania Polaków do NATO i nad polexitem. Rosja chce osłabić Sojusz i wyrywać poszczególne państwa spod wspólnego parasola kolektywnej obrony. Polexit byłby spełnieniem rosyjskich marzeń. Dlatego działają w Polsce partie głoszące niemal otwarcie taki postulat i korzystające ze wsparcia rosyjskiej propagandy w internecie.

**Gdyby Rosja podjęła w Polsce działania na większą skalę, co próbowałaby sparaliżować najpierw: lotniska, kolej, energetykę czy system dowodzenia?**

Już teraz Rosjanie prowadzą w Polsce działania wymierzone przede wszystkim w infrastrukturę krytyczną, produkcję zbrojeniową na rzecz Ukrainy oraz transport pomocy dla Ukrainy. One pokazują nie tyle, gdzie Rosjanie działaliby w przyszłości, ile gdzie już działają.

**Czy potrafimy obronić się przed masowym atakiem tanich dronów?**

Nie. Tylko trzeba zapytać, co rozumiemy przez masowy atak. Jeżeli mówimy o tysiącach bezzałogowców i ataku saturacyjnym, nie potrafimy. Trzeba jednak pamiętać, że nie wszystko i nie wszędzie warto chronić. Broni się infrastrukturę krytyczną oraz obiekty bezwzględnie niezbędne do kierowania państwem. Nie broni się każdego małego miasteczka, gór czy lasów, bo nie ma to sensu i żaden kraj tego nie robi.

**Mówi się, że budujemy jedną z najsilniejszych armii Europy. Ile tej siły już rzeczywiście mamy, ile istnieje dopiero w podpisanych kontraktach i czego nadal nam brakuje?**

To temat rzeka, właściwie na osobny wywiad. Polskie siły zbrojne przechodzą dziś największe zmiany od czasów Układu Warszawskiego. Czy jesteśmy najsilniejszą armią w Europie? Wątpię. Nie powinniśmy oceniać wojska wyłącznie przez pryzmat liczby kupionych czołgów czy dział, ale patrzeć, jak funkcjonuje cały system. Nie sądzę też, by w nadchodzącej dekadzie stał się on najsilniejszą armią Europy. Budujemy bardzo mocne wojska lądowe, odtwarzamy marynarkę wojenną i siły powietrzne, mamy bardzo dobre wojska specjalne oraz utworzone Wojska Obrony Cyberprzestrzeni. To duży atut. Nie zmienia to jednak faktu, że nadrabiamy trzy dekady zapóźnień. Nasze możliwości finansowe są nieporównywalne z niemieckimi czy francuskimi. Wzrost wydatków obronnych o pół punktu procentowego PKB w Polsce oznacza coś zupełnie innego niż taki sam wzrost w Niemczech czy Francji, w naszym przypadku to po prostu kilkukrotnie mniej pieniędzy. Myślę, że przełomowym rokiem będzie 2030. Powinniśmy mieć wtedy znacznie silniejszą obronę przeciwlotniczą i przeciwrakietową oraz bardziej zmodernizowane pozostałe rodzaje sił zbrojnych. Rok 2030 może być cezurą, po której będziemy mogli powiedzieć, że Siły Zbrojne RP naprawdę dysponują wysokimi możliwościami i zdolnością do obrony terytorium Polski. Przez najbliższe cztery lata pozostaje mieć nadzieję, że nie ziści się żaden z najgorszych scenariuszy.

**Czy w ciągu siedmiu–ośmiu miesięcy, o których mówił premier, możemy zrobić coś, co realnie zwiększy nasze bezpieczeństwo? Co jest najpilniejsze?**

Tak, jest kilka takich rzeczy. Po pierwsze, należy przeprowadzić reformę systemu kierowania i dowodzenia państwem oraz częściowo odwrócić reformę z lat 2013–2014, kojarzoną z generałem Stanisławem Koziejem. Trzeba przy tym pamiętać, że poprzednią reformę przygotowano przy innych założeniach. Z punktu widzenia obrony państwa przed pełnoskalową agresją obecny podział kompetencji nie jest dobry. Kolejna kwestia to logistyka wojskowa. Należałoby zastanowić się, czy naprawdę potrzebujemy obecnego systemu WOG-ów, czyli wojskowych oddziałów gospodarczych, i czy nie powinien on zostać zreformowany. To jednak zadanie raczej na lata niż na miesiące. Dobrze byłoby również inaczej przygotować dokumenty strategiczne. Nie jest prawdą, że nie mamy strategii. Mamy ją, tylko jest rozproszona w wielu dokumentach, z których większość jest niejawna. Być może rozsądniej byłoby opracować jeden dokument, który organizowałby tę całość i był regularnie odnawiany. To można zrobić stosunkowo szybko. Można też szybko wprowadzić drobniejsze rozwiązania praktyczne: pozwolić żołnierzom zawodowym i powoływanym z rezerwy, korzystać w wojsku z prywatnie posiadanej broni krótkiej, oczywiście na określonych zasadach. Można dopuścić używanie prywatnie kupowanego wyposażenia wojskowego, jeżeli spełnia minimalne wymogi, między innymi dotyczące kamuflażu, maskowania w podczerwieni i identyfikacji. Wiele takich niewielkich zmian da się wprowadzić szybko, a ich łączny efekt może być znaczący.

**A co z trwającą modernizacją i rozbudową armii?**

Jej zasadniczy kierunek został już ustalony. Najlepiej teraz nie dokonywać gwałtownych zmian, lecz pozwolić temu procesowi się toczyć. Chodzi między innymi o budowę korpusu obrony pogranicza oraz czterech realnie ukompletowanych dywizji. Oficjalnie mówi się o sześciu, ale uczciwiej jest dziś mówić o czterech; nie wiadomo, czy piąta rzeczywiście powstanie nie pisząc nawet o szóstej. Modernizacja obejmuje też obronę przeciwlotniczą, artylerię, wojska rozpoznawcze oraz marynarkę wojenną. Te elementy zostały już zaplanowane, prace trwają i miejmy nadzieję, że reforma zostanie doprowadzona do końca.

**Czego pan sam najbardziej obawia się w najbliższej przyszłości?**

Przede wszystkim rosyjskiego wpływu na wybory parlamentarne. Rosjanie będą próbowali wzmacniać ugrupowania eurosceptyczne; robią to regularnie. Mamy w Polsce środowiska prorosyjskie i antyeuropejskie. W perspektywie najbliższego roku największym zagrożeniem jest właśnie ingerowanie w wybory oraz pompowanie nastrojów prowadzących do polexitu.

REKLAMA 0211461412

eprasa.pl bb0228af9d

BEZPIECZEŃSTWO

# Misja szefa CIA w Moskwie. Ten scenariusz jest jednym z bardziej prawdopodobnych

– Spośród wielu możliwych scenariuszy stojących za niedawną wizytą dyrektora CIA w Moskwie ten związany z potencjalnym, ograniczonym rosyjskim atakiem lub głębokim hybrydowym oddziaływaniem podprogowym na jedno z państw bałtyckich jest jednym z bardziej prawdopodobnych – mówi profesor Krzysztof Kubiak, politolog i historyk wojskowości

Tomasz Chudzyński

FOT. EPA/WILL OLIVER / POOL/PAP

Dyrektor CIA John Rattcliffe odwiedził Moskwę z tajną misją 25 sierpnia

**Czy rzeczywiście dyrektor CIA John Rattcliffe udał się do Moskwy z misją podobną jak jego odpowiednik w administracji Bidena, William J. Burns, w roku 2021, z ostrzeżeniem dla Kremla przed inwazją na Ukrainę? Mamy trochę różnego rodzaju informacji – część mediów wskazuje, że Rosjanie planują działania hybrydowe czy wręcz operacje wojskowe w państwach bałtyckich i szef CIA przestrzegł przed takim krokiem?**

Uważam, że spośród wielu możliwych scenariuszy stojących za tą wizytą ten związany z potencjalnym, ograniczonym rosyjskim atakiem lub rozległym oddziaływaniem hybrydowym na jedno z państw bałtyckich jest jednym z bardziej prawdopodobnych.

**To oznaczałoby kolejny konflikt, i to w naszym regionie, prawdopodobnie z użyciem naszych sił... Czy jesteśmy bliżej militarnej rosyjskiej agresji na wschodnią flankę NATO, nawet w jej podprogowej formie?**

Nie do końca tak musi się stać.

**Dlaczego? W 2021 roku Rosjanie szefa CIA nie posłuchali.**

Dlatego że w 2021 roku Amerykanie, ostrzegając świat o planach Rosji agresji na Ukrainę, próbując skłonić Putina do ich zarzucenia, mówili w zasadzie w swoim własnym imieniu. Ich informacjom nie dawano wiary. Była to konsekwencja załamania zaufania do Stanów Zjednoczonych w wyniku przedstawienia sfabrykowanych dowodów na posiadanie przez Irak broni masowego rażenia w 2003 roku. Spreparowane, nieprawdziwe informacje stały się pretekstem amerykańskiego uderzenia na tej kraj. Swoją drogą to pokazuje, że w polityce, zwłaszcza w tej wielkiej, jedna pochopnie podjęta decyzja może rodzić konsekwencje sięgające wielu dziesięcioleci. Natomiast w trakcie obecnej misji dyrektora CIA sytuacja w Europie jest zupełnie inna niż w roku 2021. Przede wszystkim w wolę pokojowego współistnienia Rosji z sąsiadami wierzą już tylko wyłącznie totalni moskalofile i kremlowscy agenci. Poglądy takie głoszą albo z zaślepienia ideologicznego, albo będąc opłacanymi przez Rosję. Jeżeli w 2021 r. misja Burnsa skończyła się w zasadzie na przedstawieniu ostrzeżenia-wiadomości o tym, że Waszyngton świadomy jest planów Rosji, to obecnie jest zupełnie inaczej. No i najważniejsze – tuż przed misją amerykańską w Moskwie mieliśmy na wschodniej flance NATO choćby demonstracyjnie duże ćwiczenia wojsk lotniczych krajów Sojuszu Północnoatlantyckiego.

> **Pomijając wszelkie aspekty wojskowe i szkoleniowe tych ćwiczeń, to był na pewno wyraźny gest ze strony NATO, zapewne odczytany w Moskwie**
>
> KRZYSZTOF KUBIAK
> politolog

**To przypomnijmy. Kilka dni przed wizytą szefa CIA w Moskwie w okolicach obwodu królewieckiego (m.in. nad terytorium Polski i Litwy) NATO przeprowadziło duże ćwiczenia powietrzne. W powietrzu rozwinięto 50 maszyn bojowych i specjalnych, w tym najnowsze amerykańskie samoloty walki radioelektronicznej. Mimo że były to zaplanowane działania szkoleniowe, to wydaje się, że należy traktować je jako dobitny sygnał gotowości Sojuszu do walki. Taki pokaz siły i zdecydowany sygnał? Przejmujemy inicjatywę?**

Pomijając wszelkie aspekty wojskowe i szkoleniowe tych ćwiczeń, to był na pewno wyraźny gest ze strony NATO, zapewne odczytany w Moskwie. Rozpatrywałbym jednak te powietrzne manewry w kategoriach demonstracji i, niestety, raczej wzmożenia fazy powstrzymywania niż przejścia do działań ukierunkowanych na przejęcie przez NATO inicjatywy. Choćby dlatego, że takie przejęcie inicjatywy byłoby dla Zachodu trudne. Pamiętajmy, że facto i de iure Sojusz nie jest stroną konfrontacji, czyli wojny rosyjsko--ukraińskiej, wokół której trwa cała rozgrywka. To główne dla NATO uwarunkowanie polityczne. Natomiast w wymiarze strategiczno-psychologicznym państwa demokratyczne napotykają wciąż na olbrzymią barierę mentalną blokującą potencjalne przejęcie inicjatywy, co wynika choćby z procesów wyborczych, roli opinii publicznej. Upraszczając dość mocno – na swój sposób elektoraty w państwach Sojuszu (vide: Polska) są skłonne i gotowe ponieść obciążenia związane z defensywą, obroną własną i ewentualnie sojuszników, natomiast z niesłychanym oporem spotkałoby się podjęcie inicjatywne, nie mówiąc już o otwartej ofensywie.

**Zauważmy jednak, że pewnych sygnałów wskazujących na to, że „dzieje się coś poważnego", jest więcej. Mamy akty sabotażu, w tym w polskich fabrykach, na niemieckich lotniskach. Do tego Moskwa oskarża Wielką Brytanię o przyłączenie się do wojny po stronie Ukrainy.**

Rosjanie szukają możliwości osiągnięcia swoich celów w wojnie z Ukrainą. Wiemy, że Kijów może kontynuować obronę dzięki temu, że ma wsparcie państw europejskich. Nasilenie zatem gróźb czy faktycznych ataków kinetycznych, mających charakter sabotażu, jest jednym ze sposobów walki z tymi, którzy w oczach Rosjan są wrogami. Oni tę hybrydową grę są gotowi prowadzić, lista możliwych scenariuszy działań o charakterze nawet kinetycznym z ich strony jest bardzo duża. Wiedzą natomiast jedno – w Europie są zupełnie inaczej postrzegani niż w roku 2021.

**Jak mogłyby wyglądać działania Sojuszu, gdyby np. zgrupowanie rosyjskich wojsk ruszyło na estońską Narwę czy przesmyk suwalski? Masowe bombardowania z powietrza, morza i lądu? Na lądzie działania wojsk specjalnych NATO. Oczywiście spekulujemy całkowicie...**

Należy się liczyć choćby z błyskawicznym wprowadzeniem blokady morskiej oraz zakazu lotów dla lotnictwa rosyjskiego w wyznaczonym buforowym pasie szerokości co najmniej kilkudziesięciu,

eprasa.pl bb0228af9d

FOT. NATO

**Operacja Eastern Sentry – sierpniowe ćwiczenia lotnicze nad Polską z udziałem amerykańskich i polskich myśliwców F-35**

a być może nawet kilkuset kilometrów od obszaru, w którym rozgrywałby się taki incydent. To byłby pierwszy krok. Dalej nie chcę brnąć w ten scenariusz. W oparciu o to, co znajduje się w przestrzeni publicznej, bardzo trudno prognozować, jakby takie starcie mogło wyglądać. Możliwości zarówno rosyjskich działań, jak i odpowiedzi Sojuszu jest bardzo dużo.

**Wróćmy do wizyty Ratcliffe'a w Moskwie. Trudno sobie wyobrazić, że część rozmów, choć spotkanie było krótkie, nie była poświęcona wojnie w Ukrainie. Sam Donald Trump mówił po misji szefa CIA, że dąży do zakończenia konfliktu. Część doniesień medialnych wskazywała, że Amerykanie przestrzegali Kreml przed intensyfikacją działań na Ukra-inie.**

Musimy pamiętać, że obracamy się w obszarze informacji upublicznionych, ze zrozumiałych względów w sposób absolutnie szczątkowy, zawoalowany, ewentualnie szarych przecieków i spekulatywnych scenariuszy. Nie wiemy tak naprawdę, co Ratcliffe przekazał kierownictwu Kremla, po jakie argumenty sięgnął, czym ewentualnie mógł zagrozić tudzież czym zachęcić do dalszych rozmów. Wizyta, z jednej strony, może być wręcz traktowana jako element utrzymywania rutynowych kontaktów przez służby. Takie kontakty są utrzymywane. Musimy wiedzieć, że oprócz tego, że Rosja rywalizuje ze Stanami Zjednoczonymi, to te dwa państwa mają dość szerokie grono wspólnych wrogów. Natomiast pozycja amerykańskiego gościa rangę tego spotkania bardzo podnosi. Nie mamy jednak stenogramów, a wyłącznie przecieki. Ani Amerykanie, ani Rosjanie nie odnieśli się do tego, o czym w Moskwie rozmawiano.

**Wizyta, z jednej strony, może być wręcz traktowana jako element utrzymywania rutynowych kontaktów przez służby**

**KRZYSZTOF KUBIAK**
politolog

**To kolejna teza po misji Ratcliffe'a – Amerykanie chcieli ostrzec Rosję przed wspieraniem Iranu w konflikcie na Bliskim Wschodzie. Część źródeł mówi, że Kreml odczytał brak amerykańskiego sukcesu w starciu z ajatollahami jako słabość Stanów Zjednoczonych.**

Zaryzykowałbym hipotezę, stawiając żołędzie przeciwko dukatom, że podjęto ten temat. Dlatego że otwarcie frontu irańskiego w istocie bardzo związało możliwości amerykańskie. Natomiast Rosja, w sposób bezkosztowy, czyli na przykład przez wsparcie informacją rozpoznawczą, jest w stanie w tej chwili uzależniać od siebie Iran. W związku z tym Amerykanie siłą rzeczy takie zagadnienie musieli podjąć. I rodzi się pytanie, czy nie podjęli go w jakiś szczególny, transakcyjny sposób.

**Co jest ciekawe, widać w ostatnich tygodniach zaostrzenie postawy amerykańskiej wobec Rosji. Np. w czasie niedawnego szczytu G20 Amerykanie powiedzieli Rosjanom, którzy chcieli rozmawiać o wspólnych obszarach dla biznesu obu państw, że „nic nie jest możliwe, dopóki inwazja na Ukrainę się nie zakończy".**

To pokazuje, że administracja, którą możemy określać mianem Trump 2.0, przejęła władzę w Stanach Zjednoczonych, posiadając czysto życzeniową ocenę sytuacji międzynarodowej. Trump z wielką fanfaronadą głosił, że zakończy wojnę w Ukrainie w dwadzieścia cztery godziny. Teraz widzimy, że przez czas sprawowania władzy przez Trumpa, Waszyngton de facto Rosjan próbuje, nazwijmy to kolokwialnie, ugryźć na różne sposoby. Nie powiodła się na pewno metoda marchewki. Rosjanie nie zaakceptowali poziomu kooperacji z Amerykanami, który ci im zaoferowali, w związku z tym Waszyngton przeszedł do prób stosowania metody kija. Z europejskiego punktu widzenia nastąpiło to zbyt późno i nadmiernie symbolicznie. Natomiast raz jeszcze podkreślam to, że, bo to jest niesłychanie znamienne i bardzo niebezpieczne z polskiego punktu widzenia, odnosi się wrażenie, że ta administracja nie jest przygotowana, nie posiada strategicznej koncepcji rozwiązywania kryzysów i objęła władzę z przekonaniem, że cała przestrzeń międzynarodowa może być przedmiotem jakiejś transakcji, jakiegoś dealu, jakiegoś biznesu. Z przekonaniem, że większość problemów, jeżeli nie wszystkie, można rozwiązać w oparciu o dość prymitywnie rozumiany model biznesowy. Trudno nie traktować tego jako nie tylko poważny błąd, ale wręcz jako naiwność. Tyle że Stany Zjednoczone – z racji swego potencjału – posiadają stosunkowo duży margines błędu, natomiast ich sojusznicy graniczący z Rosją, w tym Polska, cały czas znajdują się w ewentualnej „strefie zgniotu".

**Teraz widzimy, że przez czas sprawowania władzy przez Trumpa, Waszyngton de facto Rosjan próbuje, nazwijmy to kolokwialnie, ugryźć na różne sposoby**

**KRZYSZTOF KUBIAK**
politolog

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy
w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.
Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl bb0228af9d

ŁÓDŹ

# Łódzki tunel zrujnował kamienice i życie ich mieszkańców, a budowa ciągle stoi

Dwa lata temu zmieniło się życie wielu mieszkańców kamienic przy al. 1 Maja i Próchnika w Łodzi. Budowa tunelu średnicowego, który miał być chlubą miasta, doprowadziła do katastrofy budowlanej. Zawaliła się część kamienicy przy al. 1 Maja 23. Wiele rodzin dalej mieszka w hotelach i wynajmowanych mieszkaniach

**Anna Gronczewska**

Anna nie zapomniała o tym co wydarzyło się dwa lata temu. W nocy z 6 na7 września 2024 roku jej świat się zawalił. To jej mieszkanie widać było na wszystkich zdjęciach pokazujących katastrofę budowlaną przy al. 1 Maja 23 w Łodzi.

- Na szczęście wtedy byliśmy relokowani, mieszkaliśmy w hotelu i niedługo mieliśmy wrócić do swojego mieszkania – mówi. – Gdybyśmy tam byli, to pewnie nie mielibyśmy dzieci. To ich pokój się zapadł...

Najpierw odpadła ściana w mieszkaniu sąsiada, pana Marka. Pojawił się strach, ale byli dobrej myśli. Mieli nadzieję, że nic złego się nie wydarzy, a tu nagle takie nieszczęście. Przed katastrofą kończyli z mężem remont. Postawili ściankę działową, zrobili garderobę. Znalazły się w niej najlepsze rzeczy. Mieszkanie miało trzy pokoje. Zamienili się z mamą Ani, która mieszkała pod nimi.

- Wszystko poleciało! – wspomina Ania. – Cała biblioteczka, która była zrobiona przed garderobą. Nie zostało nic po albumach, które robiła moja mama i dokumentowała jak rosną wnuki. Jedyne co udało się odzyskać z gruzowiska, to buciki córki od chrztu. Tylko dlatego, że znajdowały się w plastikowym pudełku. Mamy mieszkanie też było zniszczone, ale znajdowało się w innym pionie, po drugiej stronie klatki schodowej. Udało się z niego wynieść większość rzeczy. Nasz pion został najbardziej poszkodowany, Nam udało się wynieść tylko rzeczy z kuchni, sypialni i przedpokoju.

FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

**Kamienica przy ul. 1 Maja. Jej część runęła podczas pracy maszyny drążącej tunel. Mieszkańców wyprowadzono do hoteli i innych lokali**

### Najpierw hotel, później mieszkanie od miasta

Mieszkanie Anny, tak jak jej mamy, nie było własnościowe. Znajdowało się w prywatnej kamienicy, w której kiedyś udziały miało miasto. Jej rodzina mieszkała przy al. 1 Maja 23 od pokoleń. Tu Ania się wychowała, bawiła na podwórku. Potem wychowywały się jej dzieci.

Nie ukrywa, że po tej katastrofie byli załamani. Dalej mieszkali w hotelu przy ul. Matejki i czekali na nowe mieszkanie.

- W hotelu dostaliśmy apartament, w którym mieszkaliśmy z mamą – opowiada Ania. – Bardzo starano się, by nic nam nie brakowało. Mieliśmy aneks kuchenny, pralkę do dyspozycji. Zapewniano nam śniadania i obiadokolację.

Jednak, jak twierdzi Anna, najważniejsze było znalezienie nowego mieszkania dla jej rodziny. Powinien to zrobić właściciel kamienicy, ale nie miał takich możliwości.

- I tu bardzo dobrze spisało się miasto – twierdzi Anna. – Choć nie musiało, to zapewniło nam i mamie mieszkanie z zasobów komunalnych. Katastrofa miała miejsce we wrześniu 2024 roku, a mieszkania dostałyśmy w kwietniu następnego. Z mamą znów mieszkamy w tej samej kamienicy. Dostaliśmy trzy pokoje, tak jak mieliśmy. Mama ma dwa pokoje. Sąsiedzi z tej zawalonej części kamienicy też dostali mieszkanie.

### Czeka na wycenę

26 sierpnia minęły dwa lata jak Joanna Joanna Gajewska-Banaszkiewicz opuściła z rodziną swoje mieszkanie przy ul. Próchnika 44. Już wie, że do niego nie wróci.

- Na szczęście nie mieszkam już w hotelu! - mówi Joanna Gajewska-Banaszkiewcz. - Przez trzy miesiące mieszkałam w Focusie i wystarczy. Ja z mężem zajmowałam jeden pokój, dzieci drugi. To nie było życie! Rodzina była rozbita. Dlatego przeprowadziliśmy się do wynajętego mieszkania.

To mieszkanie znalazł im inwestor i płaci za wynajem.

Pani Joanna na ul. Próchnika ma własnościowe mieszkanie. Teraz czeka na jego wycenę. Ostatnią zakwestionował Urząd Wojewódzki, Sprawa ma się wyjaśnić do końca miesiąca

### Dwa lata w hotelu

Kamila Borecka i jej rodzina od dwóch lat mieszkają w hotelu. Nie są bezdomni. Ich mieszkanie przy ul. Próchnika 44 stoi puste. Nie mogą do niego wrócić. Cały czas czekają na wycenę mieszkania.

- Jak jechaliśmy do hotelu, powiedzieli nam, że wrócimy za dwa tygodnie – wspomina Kamila. - Zapewnili, że nic nie stanie się z naszymi mieszkaniami.

Życie pokazało co innego. Najpierw zamieszkali w hotelu Focus przy ul. Łąkowej. Kamila z córką Zuzią mieszkała w jednym pokoju. Mąż w innym, po drugiej stronie korytarza. Zuzia ma 10 lat i jest dzieckiem autystycznym, potrzebuje szczególnych warunków. W tym samym hotelu zamieszkali też rodzice Kamili.

- W Focusie mieszkaliśmy osiem miesięcy – opowiada Kamila. - Nie było pralki, kuchenki, lodówki. Byliśmy skazani na hotelowe jedzenie. Prałam w miskach, albo zanosiłam pranie do znajomych. Rodzice też mieszkają w hotelu, więc nie mogli mi pomóc. Na Próchnika mieszkaliśmy razem.

Kamila nie narzekała na jedzenie w hotelu, ale było różne. Najgorsze, że byli skazani tylko na to, co podają. Dziecku nie można było nawet usmażyć naleśników, kiedy chciało. Teraz jest lepiej, bo Kamila z rodziną przeniosła się do hotelu Arche przy ul. Matejki. W pokoju mają aneks kuchenny, jest pralka, lodówka.

- Możemy sobie ugotować obiad – dodaje. - Mamy też posiłki w hotelu, śniadania i obiadokolacje.

Kamila stara się o nowe mieszkanie, ma przecież niepełnosprawne dziecko. Usłyszała, że w tym roku nie ma co na nie liczyć.

- Nie rozumiem takiej sytuacji, że na hotele wydaje się 20 milionów zł, a nie lepiej byłoby ludziom dać mieszkania i mieć spokój? - pyta Kamila.

Przy ul. Próchnika ma ładne ponad 80-metrowe mieszkanie, ale jego właścicielem są rodzice. Była tam niedawno.

- Ściany są popękane, w piwnicy ustawili stemple – opowiada Kamila. - Ja mieszkam na trzecim piętrze, a słyszałam, że sąsiadka z parteru ma zarwaną podłogę.

Al. 1 Maja dalej jest zamknięta na krótkim odcinku między ul. Żeromskiego a Gdańską. Blisko skrzyżowania z ul. Żeromskiego w niewielkiej budce siedzi strażnik, który pilnuje, by nikt nie wszedł do opuszczonych kamienic.

### Jak to się stało

Przypomnijmy wydarzenia sprzed dwóch lat. Tarcza „Katarzyna" drążąca tunel kolejowy pod Łodzią już od kilku tygodni pracowała w centrum miasta, w rejonie ul. Żeromskiego, 1 Maja i Próchnika. Mieszkańców części kamienic przeniesiono na czas jej pracy do hoteli. Tam też zamieszkali lokatorzy tej przy al. 1 Maja 23. Kiedy opuszczali swoje mieszkania, wielu nie przypuszczało, że może tam nie wrócić. Niektórzy już szykowali się do powrotu do swych domów, gdy w piątek nadeszła wiadomość, że zawaliła się podłoga w oficynie kamienicy przy al. 1 Maja 23. W nocy runęła tam część ściany, a sobotę reszta.

- Siedzieliśmy na podwórku, gdy usłyszeliśmy huk – mówią Zbyszek i Paweł, mieszkający w sąsiadującej z pechowym budynkiem kamienicy przy al. 1 Maja 21. - Jeden z chłopaków mieszkający w naszej kamienicy pobiegł do sąsiadki z trzeciego piętra, by nakręcić filmik. To było po zawaleniu stropu. Kręcił film i nagle zawaliła się ściana. Wszystko nagrał. Widać unoszącą się ścianę kurzu.

Budowa tunelu średnicowego łączącego Łódź Kaliską z Dworcem Fabrycznym od początku budzi emocje. Wielu Łodzian boi się o to co stanie się z kamienicami, pod którymi będzie przechodzić „łódzkie metro". Rozpoczęła się w sierpniu 2019 roku. To największa inwestycja w Łodzi. Ma mieć 7,5 kilometra długości i połączyć Dworzec Fabryczny z Dworcem Kaliskim.

Po katastrofie budowę tunelu wstrzymano. Inwestor PKP Polskie Linie Kolejowe zerwały kontrakt z wykonawca inwestycji, Przedsiębiorstwem Budowy Dróg i Mostów z Mińska Mazowieckiego. Niedługo ma być wyłoniony nowy wykonawca. Jak mówi Rafał Wilgusiak, rzecznik prasowy PKP PLK, jego firma zakończyła konsultacje techniczne z pięcioma podmiotami posiadającymi największe doświadczenie w realizacji inwestycji tunelowych.

- Ich wyniki są obecnie wykorzystywane do przygotowania dokumentacji przetargowej oraz opisu przedmiotu zamówienia uwzględniającego zidentyfikowane ryzyka techniczne i organizacyjne – dodaje Rafał Wilgusiak.

Budowa tunelu może ruszyć najwcześniej w pierwszym kwartale przyszłego roku.

### Nowe życie

Anna codziennie przechodzi koło kamienicy, w której spędziła niemal całe życie. Wracają wspomnienia.

- Po tej katastrofie zostaliśmy na kilka miesięcy ludźmi bezdomnymi – mówi. – Nikt nam nie powiedział oficjalnie co tak naprawdę się wydarzyło, kto ponosi za to odpowiedzialność. Czy gdy rozbierano zniszczoną część kamienicy można było ocalić jeszcze jakieś nasze rzeczy? Potem zobaczyłam tylko na zdjęciach nasz fotel...

Anna ma dwoje dzieci: 11-letniego Gabrysia i 7-letnią Hanię. Gdy w telewizji mówią o katastrofie, to dzieci widzą zdjęcia swego pokoju, którego już nie ma...

- Ja do tej pory pamiętam, w której szafce miałam co schowane – dodaje Anna.- Ale trzeba sobie ułożyć życie na nowo...

eprasa.pl bb0228af9d

SPOŁECZEŃSTWO

# Wyszła do szkoły, od 27 lat nie wróciła. Co się stało z Aldoną z Ostrowąsa?

13 października 1999 r. rano 17-letnia Aldona Błachowicz spakowała torbę i wyszła z domu na PKS. Z rodzinnego Ostrowąsa do liceum w Aleksandrowie Kujawskim już nie dotarła. Od tej pory nie wiadomo, co się z nią stało. Rodzina odbierała głuche telefony, ale policyjny podsłuch nie pomógł. Czy po latach dojdzie do przełomu w tej sprawie?

Małgorzata Oberlan

– Aldona była taka cicha, bardzo spokojna. W pierwszej klasie liceum siedziałyśmy w jednej ławce, ale przecież tak niedługo... To, co potem się wydarzyło, było wstrząsem dla całej szkoły – wspomina dziś dawna koleżanka zaginionej z ogólniaka w Aleksandrowie Kujawskim.

Dziewczyny wcześniej się nie znały. Obie do liceum dojeżdżały z małych miejscowości, ale z przeciwnych krańców gminy. Darzyły się sympatią, ale zaprzyjaźnić się nie miały szans – los zetknął je zaledwie na półtora miesiąca.

Po zaginięciu Aldony szkolni koledzy i nauczyciele, co zrozumiałe, długo przeżywali sprawę, dyskutowali. Potem koleżanka ze szkolnej ławy śledziła poszukiwania i kolejne informacje. Do dziś, jak większość bliskich, ale i po prostu znajomych Aldony i jej rodziny, w pewne scenariusze nie wierzy.

– Aldona nie uciekła z domu, nie obracała się też w żadnym szemranym towarzystwie, nie targnęła się na życie. Nie ten typ dziewczyny, nie ten dom, nie to środowisko. Musiało się wydarzyć coś innego – mówi dawna koleżanka, dziś 44-latka z Aleksandrowa. Nie chce odbierać nadziei tym, którzy ją mają, ale to „inne", jej zdaniem, było złe.

FOT. FB

Po 27 latach od zaginięcia Aldony Błachowicz nadal jest szansa na jej odnalezienie. Dowodem – kolejne rozwikłane sprawy z „Archiwum X"

## Ostrowąs: wieś pod opieką Księżnej Kujaw

Aldona Błachowicz wychowała się w ciepłym, gwarnym domu w Ostrowąsie. To mała, ale malowniczo położona nad jeziorkiem Plebanka wieś w gminie Aleksandrów Kujawski. Znana przede wszystkim z Sanktuarium Maryjnego, łaskami słynącego barokowego obrazu Najświętszej Maryi Panny z Dzieciątkiem adorowanej przez aniołów oraz jego repliki postawionej na tafli jeziora.

Dziś sanktuarium, licznie odwiedzane przez pielgrzymów, wypiękniało jeszcze bardziej; przyciąga też gości z domów uzdrowiskowych w niedalekim Ciechocinku. W latach 80. i 90., gdy dorastała tu Aldona, tak pięknie jeszcze tu nie było. Świadectwa imiennych cudów jednak, jakich chorzy mieli doświadczać dzięki wstawiennictwu „Pani Kujaw", obecne były w historii wsi od dekad.

Rodzina Błachowiczów była bardzo liczna. Aldona była jedną z ośmiorga rodzeństwa. W domu się nie przelewało, ale to był dobry dom – pełen miłości. „Rodzice robili wszystko, by dzieci miały to, czego potrzebowały – choćby skromnie, choćby z wyrzeczeniami. Dom Błachowiczów był domem ciepłym, pełnym wzajemnego wsparcia. Można było porozmawiać o wszystkim. Nie było kłótni, nie było tajemnic. Aldona nigdy nie sprawiała problemów – ani w szkole, ani w domu. Była cicha, uczynna, serdeczna. Lubiana przez rówieśników. Miała swoje plany, marzenia. Jak każda dziewczyna w tym wieku. Nie miała powodów, by uciec. Nie było konfliktów. Nie było miłosnych dramatów" – tak wspominają ten dom i nastolatkę bliscy rodzinie, przypominając sprawę za pośrednictwem takich portali jak „Zaginieni przed laty".

Z tego małego Ostrowąsa zatem i z takiego domu 13.10.1999 r. Aldona wyruszyła w drogę. Wtedy rodzina widziała ją ostatni raz od 27 lat.

## Między PKS-em a liceum w Aleksandrowie

Wiadomo, że tamtej środy rano 17-latka spakowała do szkoły standardowe rzeczy, zachowywała się jak co dzień i jak zwykle poszła na PKS. Wsiadła do autobusu i dojechała do Aleksandrowa Kujawskiego. Do swojego liceum jednak już nie dotarła.

Idąc do szkoły, mogła przechodzić obok targowiska w miasteczku. W latach 90. w takim miejscu kupić można było dosłownie mydło i powidło, ale i załatwić różne nietypowe rzeczy, także takie „na granicy z prawem". Pojawiali się zatem tutaj różni ludzie...

„Wiele lat po zaginięciu jeden ze sprzedawców na rynku w Aleksandrowie Kujawskim wspomniał, że widział scenę, która mogła mieć znaczenie. Podobno mężczyźni o rozbudowanej sylwetce próbowali siłą wciągnąć młodą dziewczynę do ciemnego samochodu. Nie było jednak pewności – ani co do czasu, ani co do tożsamości tych osób. Wspomnienie to stało się jednym z tych domysłów, które po latach wracają w myślach i nie dają spokoju" – relacjonują bliscy rodziny (za: Zaginieni przed laty.pl)

## Policja, jasnowidz, głuche telefony i podsłuch

– Teraz akta tej sprawy są już w archiwum. Przed laty jednak poszukiwania zaginionej Aldony Błachowicz były bardzo intensywne. Obecnie, mimo upływu czasu i archiwizacji akt, policja w każdym momencie gotowa i zobowiązana jest sprawdzić nowy sygnał, trop, informację, które mogłyby się przyczynić do wyjaśnienia sprawy – podkreśla Marta Białkowska-Błachowicz, rzeczniczka Komendy Powiatowej Policji w Aleksandrowie Kujawskim.

I jak zapewnia oficer prasowa – nie podaje nam standardowej formułki cytowanej na okoliczność zaginięć sprzed ćwierćwiecza. – To nie są puste słowa. Tyle że od wielu lat takich nowych informacji nie otrzymaliśmy.

Białkowska-Błachowicz sprawę dobrze kojarzy, bo środowisko jest małe, a historia bolesna. Dla jasności jednak zaznacza, że żadnych rodzinnych koligacji z rodziną zaginionej nie ma. Ot, zbieżność nazwisk.

Jak szukano Aldony przed laty? Intensywnie i na różne możliwe wtedy sposoby. Działała policja, działała rodzina. Dorosłe dziś rodzeństwo pamięta, jaka rozpacz malowała się na twarzach rodziców, gdy żaden kolejny dzień nie przynosił odpowiedzi.

Zaangażowany przez nich do pomocy jasnowidz Krzysztof Jackowski, przez lata współpracujący z policją w kraju, czym ta się nie chwaliła, ale i czego się nie wypierała, osobiście przyjechał na Kujawy. Jego zdaniem szukać należało w rzece Tążynie, płynącej przez Aleksandrów. I to szukać ciała, niestety.

Takie poszukiwania wraz z policją były prowadzone, ale niczego nie dały. Podobnie jak podsłuch założony przez policję po tym, jak rodzina Błachowiczów zaczęła odbierać głuche telefony. Fakt, że takie po zaginięciu były, z perspektywy 27 lat wydaje się niezwykle ważny. Prawdopodobnie przy obecnych możliwościach technicznych ten trop udałoby się lepiej sprawdzić.

Rodzice Aldony zmarli, nie poznając nigdy odpowiedzi na pytanie, co stało się z ich córką. Czy dowie się tego kiedykolwiek rodzeństwo?

## Pamięć o zaginionych przed laty ma sens

Sprawę Aldony przypominają co jakiś czas Itaka, Zaginieni.pl czy Zaginieni przed laty.pl, a także TV. Czy ma to sens po ponad ćwierćwieczu? Tak – z kilku powodów.

Czasem zwykły przypadek, a czasem wyznanie kogoś (po latach), kto długo trzymał w sobie ważne informacje, okazują się przełomem – jeśli tylko trop zostaje na poważnie podjęty.

27 lat to przy rozpędzonym rozwoju technik kryminalistycznych policji to cała era. Postęp na wielu polach jest olbrzymi, możliwości wciąż się zmieniają i rosną. Dowodem na to kolejne rozwikływane sprawy z policyjnego „Archiwum X".

A wreszcie – rzeczywistość, w której za sprawą internetu i mediów społecznościowych świat stał się globalną wioską, ma ogromne znaczenie. Błyskawiczny i wielki zasięg informacji sprawia, że sprawy kiedyś nierozwikłane znajdują wyjaśnienie. Tu przykładem choćby cenna, międzynarodowa operacja Interpolu „Identify Me". Zainicjowała ją holenderska policja, współpracując m.in. z niemiecką czy belgijską. Wytypowano kobiety NN znalezione na terenie 6 krajów – także przed wieloma laty – będące prawdopodobnie ofiarami przestępstw. Były m.in. apele w wielu krajów do potencjalnych krewnych, znajomych, sąsiadów z pytaniem: „Rozpoznajesz mnie?". W ten sposób ustalono tożsamość np. kobiet z Rosji, Wlk. Brytanii czy Paragwaju, których ciała zaleziono w Holandii czy Belgii. Tak też zidentyfikowano „kobietę z niemieckimi kluczami". Po 21 latach!

Wszystkie te kobiety były w krajach zgonu osobami NN. Natomiast w rodzinnych stronach – zaginionymi bez wieści.©℗

### Rysopis zaginionej Aldony Błachowicz

- wzrost: 164 cm
- kolor oczu: niebieskie
- włosy: średniej długości
- wiek w dniu zaginięcia: 17 lat
- obecny wiek: 44 lata
- ubiór w dniu zaginięcia: niebieski polar

Osoby, które mają informacje na temat zaginionej, mogą kontaktować się z policją w Aleksandrowie Kujawskim lub każdą inną jednostką policji.
Na sygnały czeka też redakcja portalu Zaginieni przed laty.pl, gwarantując anonimowość.

eprasa.pl bb0228af9d

ŻAŁOBA

# „Gdybym wyrzuciła jej rzeczy do śmieci, to tak, jakbym ją tam wyrzuciła”

W pracy zawsze jest z nią mały króliczek z czerwoną bandanką. Monika kładzie go obok siebie. Kiedy widzi gondolę z niemowlęciem albo poczuje, że emocje wracają ze zdwojoną siłą, ściska jego łapkę. – To powodowało, że się trzymałam – mówi Monika Szyszka-Mnich. To jedna z pamiątek po córce, która żyła zaledwie sześć miesięcy. Jej historię Monika opisała w książce „Jagodowa wojowniczka”

**Sylwia Rycharska**

Trzy lata temu straciła córkę, Jagodę, kiedy dziewczynka miała niespełna sześć miesięcy. W domu wciąż są pamiątki po niej, zdjęcia, a nawet fotel, w którym Monika ją karmiła. Nadal jest pokój Jagodzianki. Jest też Julia, starsza córka, która pamięta siostrę i mówi mamie, że Jagoda „jest u aniołków”. Jest Paweł, mąż Moniki, który żałobę przeżywa zupełnie inaczej. Jest praca, w której można na chwilę odciąć się od tego, co dzieje się w domu.

To opowieść o życiu po śmierci dziecka. O żałobie, która nie znika, ale zmienia swój kształt. I o tym, że czasami wystarczy jedno pytanie: „Jak się masz?” – żeby człowiek poczuł, że jego dziecko nadal jest pamiętane.

FOT. ROBERT WALDEMAR WYLEGALSKI

Jagódka żyła tylko pół roku, jednak Monika ma z tego okresu wiele, także pięknych, wspomnień

## Miało być rodzeństwo dla Julii

Monika Szyszka-Mnich na co dzień jeździ autobusami MPK w Poznaniu. Pracuje także przy rozliczaniu kart kierowców. Jej mąż Paweł również jest kierowcą autobusów. Poznali się właśnie w pracy.

Mają dziś sześcioletnią Julię. To dla niej Monika chciała kolejnego dziecka.

Druga ciąża zakończyła się jednak poronieniem w 10. tygodniu. Rodzina przeżyła stratę, ale po czasie Monika i Paweł zdecydowali się spróbować jeszcze raz. Tym razem ciąża się utrzymała. Na świat miała przyjść wyczekiwana Jagódka.

Ciąża, jak opowiada Monika, przebiegała właściwie książkowo. Nie było sygnałów, które pozwalałyby przewidzieć, jak ciężko chore będzie dziecko. Podczas badań prenatalnych pojawiły się jednak wątpliwości dotyczące kształtu i wielkości główki oraz podwyższone ryzyko aberracji chromosomalnej, w tym zespołu Downa. Później wykonano amniopunkcję i badania genetyczne.

Wyniki wykazały nieprawidłowości dotyczące chromosomów 9 i 13. Badania rodziców pokazały z kolei, że Paweł jest nosicielem tej zmiany. Nosicielką jest także starsza córka.

Rodzice wiedzieli więc, że Jagoda może urodzić się chora i niepełnosprawna. Nie usłyszeli jednak wtedy, że ta wada oznacza chorobę, z którą dziecko nie będzie miało szans na życie. Dlatego czekali na jej narodziny.

– Pytałam lekarzy o wszystko. Czy nóżki i rączki rozwijają się prawidłowo. Czy wszystko jest na swoim miejscu. Odpowiedzi były uspokajające. Tego po prostu nie było widać na zdjęciach USG, nawet na takich szczegółowych – mówi Monika.

Była w niej nadzieja. Było też przekonanie, że medycyna daje coraz większe możliwości i że nawet jeśli dziecko będzie wymagało opieki, oni sobie poradzą.

Jagoda urodziła się 17 stycznia.

## „Najgorsze było patrzenie, jak cierpi”

Poród odbył się przez cesarskie cięcie. Jagódka od początku wymagała intensywnej opieki medycznej i trafiła na neonatologię.

Wkrótce okazało się, jak wiele problemów zdrowotnych miała dziewczynka.

Jednym z najpoważniejszych była wada dotycząca czaszki – przedwczesne zrośnięcie szwów czaszkowych, które powodowało wzrost ciśnienia wewnątrzczaszkowego. To z kolei wiązało się z problemami z oczami. Jagoda miała bardzo silny wytrzeszcz, a wysokie ciśnienie w oczach prowadziło do stanów zapalnych.

Do tego dochodziły problemy z układem oddechowym. Dziewczynka miała niedojrzałe płuca, torbiel w obrębie krtani i porażenie strun głosowych. Miała również trudności z odkrztuszaniem i połykanie własnej wydzieliny stanowiło dla niej problem.

Dla Moniki wszystko, co wcześniej było tylko medycznymi określeniami z wyników badań, nagle stało się rzeczywistością.

– Najgorsze to jednak było patrzenie na OIOM-ie na to, jak ona... jak to cierpienie, ból zżera ją. No tak naprawdę to nie ma innego słowa, tylko zżera ją od środka. To wszystko, te bakterie, te zakażenia, praktycznie wysysały z niej życie.

## Miesiąc razem

Po 36 dniach pobytu na oddziale neonatologicznym przy Polnej została wypisana do domu.

Nie był to łatwy czas dla rodziców. Były konsultacje, wizyty u lekarzy i ciągłe czuwanie. Ale przez pewien czas rodzina mogła być razem. Choć wymagało to stałej uwagi i ostrożności, Monika wspomina ten miesiąc jako czas, który pod wieloma względami przypominał zwyczajne życie rodziny z małym dzieckiem. Jagodzianka była małą spokojną dziewczynką. Prawie nie płakała, a jeśli już, robiła to bardzo cichym głosikiem. Dopiero później okazało się, że było to związane z porażeniem strun głosowych. Lubiła ruszać nóżkami. Jej rączki były charakterystycznie przykurczone, czasem układały się w sposób, który Monika zapamiętała jako jej mały, wyjątkowy gest. Na jednym ze zdjęć Jagódka palcem wskazuje swój smoczek z napisem „Jagódka”. Monika patrzy na to zdjęcie i żartuje, że Jagoda wygląda na nim tak, jakby chciała powiedzieć: „Zobaczcie, to jestem ja, Jagodziana”.

Za wszystkimi diagnozami, pobytami w szpitalu i kolejnymi problemami medycznymi była więc przede wszystkim ich córką. Chcieli mieć ją w domu, tulić, karmić i obserwować, jak rośnie.

Gdy Jagoda była w domu, starsza Julia chodziła do żłobka. Monika stworzyła sobie codzienną rutynę.

Rano odprowadzała starszą córkę. Potem wracała z Jagódką do domu. Karmiła ją, przewijała, układała do snu. Gotowała, sprzątała. Jeśli pogoda pozwalała, szła na spacer.

– Można to określić jako normalny czas – mówi.

Normalność miała jednak zupełnie inne znaczenie niż wcześniej. Monika bała się, żeby Jagoda znowu się nie rozchorowała. Pogoda w marcu i kwietniu była zmienna. Dłuższe spacery można było policzyć na palcach jednej ręki. Jeden z nich Monika pamięta jednak szczególnie dobrze.

Między osiedlami jest park. Pewnego dnia usiadły na ławce. Obok rosło drzewo, które właśnie kwitło. Monika karmiła córkę, a Jagoda patrzyła w jego stronę.

Po latach nazywa ten obraz jednym z najważniejszych wspomnień. Tym bardziej że wcześniej jej koleżanka opowiedziała jej o swoim śnie. Śniła o Jagodzie patrzącej na drzewo.

– Długo nie mogłam zrozumieć, o co chodzi w tym śnie. Ale później, gdy tak siedziałyśmy w tym parku i widziałam Jagodziankę, zrozumiałam znaczenie tego obrazu.

Dziś Monika nadal chodzi w to miejsce. Patrzy na to samo drzewo. Zauważa, że każdego roku kwitnie trochę inaczej.

Monice Jagodzianka po raz pierwszy przyśniła się dopiero po swojej śmierci. Stało się to w szpitalu, w którym przebywała wtedy starsza córka Moniki. Julia miała ropne zapalenie ucha i wymagała hospitalizacji. Byli na tym samym piętrze, na którym znajdowały się oddziały laryngologii i OIOM. Tej nocy Monice przyśniła się Jagoda i powiedziała: „Mamusiu, będzie dobrze”.

Sen był wyjątkowo wyraźny. Jagodziana wyglądała w nim inaczej niż w rzeczywistości. Miała zdrowe oczy.

– Całą twarz widziałam, ale ze zdrowymi oczkami. Tu zadziała moja wyobraźnia. Może chciała mi podpowiedzieć, jak by wyglądała, gdyby miała zdrowe te oczy.

Niemal w tym momencie Monika usłyszała na korytarzu płacz dziecka. Wybiegła, ale nikogo tam nie było.

– Ten płacz był podobny do tego kwilenia, jakie ona wydawała. To było ciężkie przeżycie, bo już później tej nocy nie spałam.

Dziś traktuje ten sen jako coś, co miało dodać jej siły.

Podobnych drobnych znaków Monika dostrzega więcej. Jednego z nich doświadczyła podczas rodzinnego wyjścia. Przyleciał do nich motyl. Przysiadł na gałązce drzewa, a później przez jakiś czas jakby im towarzy-

eprasa.pl bb0228af9d

FOT. ROBERT WALDEMAR WYLEGALSKI

**Napisanie książki było dla pani Moniki formą terapii**

szył – frunął za nimi aż do samochodu. Monika pomyślała wtedy o Jagodziance.

– Teraz role się odwróciły. Teraz ona się nami zajmuje i opiekuje – mówi i dodaje, że motyle od tamtej pory kojarzą jej się z córką.

### „Psst... Iskierka zgasła"

Pod koniec kwietnia Jagoda znów trafiła do szpitala przy ul. Wrzoska. Tym razem już z niego nie wróciła.

Jej stan był bardzo ciężki. Kolejne infekcje, problemy z oczami, układem oddechowym i ogólnym stanem organizmu sprawiały, że lekarze zaczęli rozmawiać z rodzicami o tym, czy jest jeszcze szansa na poprawę. Rozmawiali także o decyzji DNR, czyli o niepodejmowaniu resuscytacji, gdyby doszło do zatrzymania krążenia lub oddechu.

Paweł się zgodził. Monika nie potrafiła. Niedługo później Jagodzianka trafiła na OIOM.

To była dla niej jedna z najtrudniejszych decyzji. Z jednej strony patrzyła na cierpienie córki i widziała, jak bardzo jest wyczerpana. Z drugiej – nie umiała zdecydować, że to już koniec.

– To jest chyba najgorsze, kiedy człowiek patrzy na własne dziecko i wie, że ono cierpi. I wtedy zaczęłam żałować, że nie zgodziłam się na sugestię lekarzy o DNR – mówi.

A jednak Jagoda zrobiła coś, czego nikt nie mógł jej obiecać. Jej stan zaczął się poprawiać. Dziewczynka wyszła z intensywnej terapii i została przeniesiona na poprzedni oddział. Nadal była bardzo chora, ale kolejny raz udało jej się pokonać kryzys.

Dla Moniki był to jeden z momentów, w których zobaczyła w córce tę siłę, którą później nazwie wojowniczością.

Jagodziana pozostała w szpitalu przy Wrzoska aż do śmierci.

6 sierpnia dziewczynka zmarła w ramionach mamy. Miała niespełna sześć miesięcy.

Tego dnia Monika została obudzona o 6 i od razu pojechała do szpitala. Około dziewiątej parametry dziewczynki zaczęły gwałtownie spadać. Na monitorze pojawiały się kolejne niepokojące wartości. Przez chwilę wydawało się, że to już koniec. Po chwili jednak wskaźniki zaczęły się poprawiać.

Monika odebrała to jak jeszcze jedną walkę wygraną przez córkę.

– Wtedy jeszcze nie było z nami taty Jagodzianki. Ja sobie tak pomyślałam, że może ona chciała jeszcze pobyć z tatą, zobaczyć go – wspomina.

Niedługo później Paweł przyjechał do szpitala.

Około godziny 14.10 Monika siedziała z cóką na rękach, na fotelu przy jej łóżeczku. Nie patrzyła na monitor. Chciała po prostu być blisko córki. To Paweł zauważył, że parametry znów zaczynają gwałtownie spadać.

– Monika, spada wszystko. Jest zero... – powiedział.

Monika trzymała Jagódkę. Poczuła jej ostatni oddech. A potem zaczęła czuć, że ciało córki robi się coraz chłodniejsze.

– A ze mnie uciekło życie razem z nią. Zamarłam. Za dużo dalej nie pamiętam. Trzymałam ją i nie potrafiłam puścić – mówi.

Został jej jeszcze jeden obraz. Twarz Jagody. Jej wielkie, hipnotyzujące oczy.

– Ja widzę jej te hipnotyzujące, dosłownie te wielkie oczęta, które patrzyły na mnie i mówiły, że już będzie lepiej. Już nie będzie cierpieć.

Dla Moniki to wspomnienie jest jednym z najtrudniejszych, jakie nosi w sobie. I właśnie dlatego długo nie potrafiła go zapisać.

Kiedy pisała książkę, kolejne rozdziały powstawały niemal jeden po drugim. Musiała wręcz pilnować się, żeby nie zatracić się w pisaniu i we wspomnieniach. Ten rozdział był inny. Odkładała go. Bała się do niego wrócić, bo wiedziała, że będzie musiała jeszcze raz przeżyć ostatnie chwile córki.

W książce zatytułowała go „Psst... Iskierka zgasła".

### „Jagodowa wojowniczka"

Pisanie stało się dla Moniki sposobem na uporządkowanie tego, co wydarzyło się po narodzinach i śmierci córki. Wcześniej zapisywała wszystko w formie kronik – wydarzenia, wspomnienia, kolejne etapy walki o życie Jagody. Pomogła jej także rozmowa z psycholożką, która podsunęła jej myśl, że warto te doświadczenia właśnie zapisywać.

Z czasem zaczęła myśleć o tym, żeby prywatne zapiski połączyć w większą całość. Tak zaczęła powstawać historia Jagodzianki.

Tytuł „Jagodowa wojowniczka" nie jest przypadkowy. Od początku Monika postrzegała córkę jako dziewczynkę, która walczyła – najpierw o każdy oddech, później o kolejne dni i tygodnie życia. Wojowniczką była jednak nie tylko Jagoda. Walczyć musieli także jej rodzice, a przede wszystkim Monika, która każdego dnia mierzyła się z kolejnymi informacjami, zabiegami, infekcjami i strachem o dziecko.

Książka stała się więc nie tylko pamiątką po córce. Jest zapisem ich wspólnej walki i sposobem na to, żeby Jagodzianka nadal była obecna w życiu swojej rodziny.

### „Chciałam, żeby pamięć o niej cały czas była"

Po śmierci Jagody Monika bardzo szybko wróciła do pracy. Minęło zaledwie kilkanaście dni. W pracy potrafiła funkcjonować zupełnie inaczej niż w domu.

– Prowadziłam dwa życia. To w domu, gdzie byłam osobą w żałobie, i to w pracy, gdzie całkowicie zmieniałam oblicze.

W pracy rozmawiała o zwyczajnych rzeczach, a nawet potrafiła się uśmiechnąć. W domu była jednak matką po stracie dziecka. Nie chciała, żeby o Jagodzie przestano mówić.

Tymczasem wiele osób nie wiedziało, jak się zachować. Niektórzy zmieniali temat. Inni zachowywali się tak, jakby śmierci dziecka w ogóle nie było.

– Tylko jedna koleżanka w pracy podeszła do mnie, przytuliła mnie i złożyła kondolencje.

Monika uważa, że ludzie często milczą nie dlatego, że nie współczują. Po prostu nie wiedzą, co powiedzieć. Problem w tym, że dla osoby w żałobie takie milczenie może być jeszcze bardziej bolesne.

– Ja akurat sobie życzyłam i czekałam na to, aż ktoś o niej powie, ktoś o nią zapyta, jak się czuję.

Zamiast tego słyszała czasem: – „Weź się w garść, ogarnij się, masz drugie dziecko".

### Każdy przeżywa żałobę inaczej

Monika przez długi czas codziennie jeździła na cmentarz. Dziś robi to raz w tygodniu.

Jej mąż Paweł przeżywa śmierć córki zupełnie inaczej. Jest bardziej zamknięty w emocjach. Jeździ na cmentarz, ale woli robić to rzadziej. Monika długo nie potrafiła tego pojąć.

Z czasem zrozumiała, że żałoba nie ma jednego wzoru. Paweł nosi w sobie także poczucie winy – wie, że to po nim Jagoda odziedziczyła zmianę genetyczną, dlatego część odpowiedzialności za jej chorobę bierze na siebie, choć przecież nie miał wpływu na to, jaki będzie jej los.

– Każdy przeżywa na swój sposób tę żałobę.

Śmierć Jagody zmieniła również ich małżeńskie życie w jeszcze jednym bardzo ważnym aspekcie. Zrezygnowali z planów posiadania kolejnego dziecka.

Wiedzieli, że w ich przypadku ryzyko powtórzenia problemów genetycznych jest wysokie. Nie chcieli po raz kolejny podejmować decyzji, której konsekwencje mogłyby oznaczać kolejną walkę o życie dziecka.

– Nie chcemy znowu zadawać losowi pytania, czy urodzi się zdrowe. To loteria – mówi Monika.

Mają zdrową Julię, która jest nosicielką tej samej zmiany. Drugie dziecko stracili w okresie płodowym – prawdopodobnie również obciążone zmianami genetycznymi. Jagoda była ich trzecim dzieckiem. Monika nie chce już więcej ryzykować.

– Chcę, żeby Julia miała mamę normalną, można powiedzieć trzeźwą psychicznie, umysłowo i duchowo. Dla niej żyję. Nie wiem, jakie koszty przyniosłaby kolejna walka o życie dziecka.

### Żałoba nie znika, tylko czasem zasypia

Julia miała zaledwie trzy lata, kiedy urodziła się Jagoda. Dziś ma sześć lat i pamięta siostrę. Nie widziała jej w szpitalu w najtrudniejszym okresie. Monika nie chciała, żeby zapamiętała ją podłączoną do aparatury. Była jednak na pogrzebie.

Pamięta moment, kiedy trumienkę opuszczano do grobu. Pamięta płaczącą mamę. I dziś potrafi pocieszyć Monikę: „Mamusiu, nie płacz, bo ona jest u aniołków. Jest jej dobrze" – zaznacza.

Dla Moniki te słowa sześciolatki są jednocześnie wzruszające i dające siłę.

Rodzina ma swoje małe rytuały. Kiedy przechodzą obok kościoła, zatrzymują się. Żegnają się. Machają i mówią: – „Dobranoc, Jagodzianko".

W domu jest jej muzyka – kołysanka, która powstała z myślą o Jagódce. Jej słuchanie również stało się rytuałem.

Jest też nadal pokój Jagody. Przez pierwszy rok po jej śmierci Monika nie potrafiła niczego z niego ruszyć. Łóżeczko, przewijak, rzeczy córki – wszystko zostało na swoim miejscu.

Z czasem łóżeczko zniknęło. Przewijak również. Część rzeczy Monika przekazała innym.

Ale wiele nadal zostało. Pokój jest zielony, tak jak był. Zostały meble, dywan, firanki, książeczki. Na ścianie nad wejściem widnieje imię „Jagoda" z motylkami.

Zamiast łóżeczka jest kanapa dla gości, biurko i fotel. Ten fotel jest szczególny. To na nim Monika karmiła Jagodziankę.

– Jak sobie czasem siadam, to te wspomnienia też wracają.

Co roku, w sierpniu, w okolicach rocznicy śmierci córki, Monika próbuje zrobić porządek w kolejnej szufladzie. To trudne.

Część rzeczy przekazuje innym rodzinom. Tych, których nie może już nikomu oddać, nie potrafi wyrzucać.

– Nie chcę wyrzucić tego po prostu na śmietnik, bo to tak, jakbym ją tam wyrzuciła.

Wciąż ma wiele pamiątek. Jej identyfikator, smoczek, przypinkę do wózka, zdjęcia. Test ciążowy.

Trzy lata po śmierci córki Monika mówi, że nie wie, czy kiedykolwiek pogodzi się z jej śmiercią. Nie oznacza to jednak, że każdego dnia płacze.

– Są okresy, kiedy potrafię rozmawiać o Jagodzie bez wzruszenia. Potrafię normalnie funkcjonować, wyjechać z rodziną na wakacje, planować kolejne dni – mówi.

A potem pojawia się coś, czego się nie spodziewa. Zdjęcie. Dziecko. Gondola. Miejsce w parku. Piosenka. Rocznica. Sen. I emocje wracają.

– Wydaje mi się, że ból nigdy nie minie. On jedynie tak jakby wygaśnie. Ale w pewnych momentach natrafia na takie zapalniki, które od razu, znienacka, go rozpalą – mówi.

– To jest tak, jakby żyć z tykającą bombą. Nie wiadomo, kiedy eksploduje – dodaje.

Monika nadal jeździ autobusami po Poznaniu. Towarzyszy jej wtedy mały króliczek z czerwoną bandanką. Kiedy widzi małe dziecko, szczególnie niemowlę w gondoli, czasami wracają obrazy z tamtych miesięcy.

– Na widok małych dzieci to serce mi się... Nie umiem tego nazwać.

Wtedy sięga po króliczka. Trzyma go za łapkę i jedzie dalej.

eprasa.pl bb0228af9d

MUZYKA

# Rysiek Riedel był jak malowany ptak wśród burych wróbli

7 września świętowałby 70. urodziny. Odszedł 32 lata temu, prawie sześć tygodni przed 38. urodzinami. Wśród fanów żyje do dziś, i nie są to tylko jego rówieśnicy. Żyje też jego legenda charyzmatycznego muzyka i człowieka nieprzystającego do tamtego czasu i miejsca. Szokował, oburzał, gorszył, ale nic sobie z tego nie robił. Żył w swoim świecie

**Jolanta Pierończyk**

JOLANTA PIERONCZYK

**Dokładnie 5 lat temu, 4 września 2021 r., na bloku przy ul. Filaretów w Tychach odsłonięty został mural z wizerunkiem Ryśka Riedla. Puzzle wokół niego nawiązują do okładki płyty „Autsajder"**

Miałam 8 lat, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Jechałam trolejbusem razem z kuzynką. Kiedy kierowca zatrzymał się na przystanku, razem z grupą pasażerów wszedł ON - człowiek nie z tej bajki. Miał długie włosy, kapelusz z szerokim rondem, kurtkę z frędzlami, kolorowe paciorki, plecione troczki, buty w szpic i błyszczące oczy. Prawdziwy czarodziej. O dziwo, wcale nie bałam się tego dziwnego jegomościa – na swój sposób pasował do mojego dziecięcego świata wróżek, elfów i smoków. Usiadł naprzeciwko, nie odezwał się słowem. Nie musiał – i tak skupiał na sobie uwagę wszystkich. Kiedy wysiadałyśmy z trolejbusu, kuzynka szepnęła mi do ucha, że to był właśnie Ryszard Riedel, wokalista zespołu Dżem. Dzień wcześniej przez kilka godzin wspólnie słuchałyśmy jego utworów. Ucieszyłam się, bo właśnie tak go sobie wyobrażałam – jak malowanego ptaka wśród burych wróbli - wspomina Agnieszka Kijas, poetka i autorka książek o artystach, jak Van Gogh czy Olga Boznańska.

Rysiek miał wtedy ok. 33 lat, był u szczytu sławy. Ale takim człowiekiem z innej bajki był od zawsze.

- Już jako piętnasto- czy szesnastolatek wyglądał inaczej niż my: miał długie, niesforne włosy, koraliki, bransoletki na rękach. Niepodobna, żeby założył obowiązujący wówczas mundurek szkolny. Ewidentnie aspirował do innego świata. Fascynowała go kultura amerykańska, fascynowali Indianie (był to czas popularności adaptacji powieści Karola Maya o Winnetou, dzielnym wodzu Apaczów). Żył w tym swoim świecie i kiedy szedł, nie zauważał nikogo. Wtedy jeszcze nie było mowy o żadnych uzależnieniach. On po prostu był taki... osobny. Niezbyt rozmowny, ale jak już coś powiedział, to zawsze mądrze - wspomina Grażyna Jurek, dziś dyrektor ZS 1 im. Gustawa Morcinka w Tychach, z którego okien widać blok z mieszkaniem Riedlów, a od pięciu lat z muralem przedstawiającym Ryśka Riedla.

Od początku, jak mówi, żył, jak chciał, robił, co chciał, chodził własnymi ścieżkami, zdanie innych zupełnie go interesowało.

- Po prostu wolny ptak, prawdziwy artysta. Może gdyby to była Warszawa lub inne duże miasto, ale w Tychach w blokowisku na osiedlu F stanowił niebywałe zjawisko gorszące wszystkie wysiadujące w oknach sąsiadki - mówi Grażyna Jurek.

Pamięta go z tamtego czasu doskonale, właśnie dlatego, że wyróżniał się wyglądem. Wspomniane długie włosy, nie do zaakceptowania w tamtym czasie w szkole. Rzemyki na nadgarstkach, kurtki z frędzlami... Pamięta, bo często przesiadywał na ławeczce przy jej bloku na osiedlu F w Tychach i grał na harmonijce ustnej lub szkicował coś w notatniku.

- Wtedy jeszcze nie śpiewał, ale właśnie grał na harmonijce ustnej, doprowadzając sąsiadów do furii. „Znowu gra ten Rygiel", złościli się. Bo inaczej o nim nie mówili, jak właśnie Rygiel. Może jeszcze: „Ten hippis" - wspomina Grażyna Jurek.

I jeszcze czasem... „leber". Boć choć do Tychów w połowie XX w. napłynęło sporo mieszkańców z różnych regionów Polski, to jednak trzon stanowili Ślązacy z wdrukowanym w świadomość etosem pracy - solidnej, fizycznej, najczęściej w kopalni. Rysiek Riedel szeregów klasy robotniczej nie zasilił. I także przez to był inny.

- Zupełnie nie mieścił się w tamtej epoce. Po prostu urodził się za wcześnie, ale wielu geniuszy tak ma - podkreśla Grażyna Jurek.

A Rysiek ewidentnie był geniuszem. Nikt go niczego nie uczył. Sam się nauczył grać, sam stworzył swój styl. -Śpiewał nawet po angielsku, nie znając tego języka - dodaje Grażyna Jurek.

„Ryszard Riedel to podręcznikowy, a zarazem niezwykle poruszający przykład wybitnej jednostki, która wyrosła wprost z szarej, śląskiej przeciętności PRL-u", twierdzi sztuczna inteligencja.

Tej wybitnej jednostki jednak nie byłoby, gdyby nie szczególny dar, z jakim przyszedł na świat. Ten dar to z jednej strony niezwykły głos o niesamowitej barwie oraz intuicyjne wyczucie bluesowej frazy, a z drugiej - charyzma, magnetyczna osobowość sceniczna.

I miał też to coś, z czym rodzą się osoby wybitne: umiejętność ignorowania bodźców zewnętrznych i skupienia całej energii życiowej na jednej, konkretnej dziedzinie. Dla Ryśka całym światem była muzyka. „Nie traktował jej jak zawodu, ale jak jedyną formę komunikacji ze światem, w której potrafił się odnaleźć", twierdzi AI.

Z tym wszystkim trzeba jeszcze trafić w odpowiedni czas. Najlepszy jest jakiś brak, ból, cierpienie. Ktoś powiedział, że największa sztuka rodzi się z tęsknoty, marzeń, niedostatku.

Niedostatek był. Był wpisany w rzeczywistość PRL. Tęsknot i marzeń nie brakowało.

Riedel marzył o wolności. „Wolności moja, śniłem, że wziąłem z Tobą ślub"- śpiewał w piosence pt. „Victoria". Ten temat jest też w „Whisky".- Whisky w tamtym czasie to był alkohol do kupienia jedynie w „Peweksie" i Ryśka na pewno nie było na niego stać, więc whisky nie pił. Należała ona jednak do świata, który był mu bliski. Whisky pił Dziki Zachód, który Riedla tak fascynował - przypomina dyrektor Grażyna Jurek.

Marzył o tym lepszym świecie jak wielu ludzi, w tamtym czasie. I jak wielu z nich próbował trochę go sobie stwarzać, m.in. zdobywając luksusowe dobra z Zachodu czy Ameryki. - Zawsze nosił jeansy. Nie wiem, czy to były wranglery czy rifle, ale jeansy. Zachodził czasem do mojej sąsiadki, która miała rodzinę w Stanach Zjednoczonych i dostawała stamtąd paczki. Rysiek usiłował znaleźć w nich coś dla siebie, zwłaszcza jakieś etniczne elementy, z którymi występował potem na scenie - wspomina Grażyna Jurek.

Stał się głosem swojego pokolenia, które może tego tak nie okazywało, ale też dusiło się w szarej rzeczywistości PRL-u. Nawet w nowoczesnych Tychach. „Tychy były budowane jako nowoczesne, robotnicze miasto dla rodzin pracujących w pobliskich kopalniach i fabrykach (np. FSM). Architektura wielkiej płyty [nie w całych Tychach, al na osiedlu F na pewno - red.], powtarzalność i urbanistyczny rygor wywoływały w Riedlu poczucie osaczenia", twierdzi sztuczna inteligencja.

Zdaniem AI, konsekwencją jego niedopasowania do otaczającej rzeczywistości była ucieczka w narkotyki. Próbował walczyć ze swoim uzależnieniem. Poddawał się terapiom odwykowym.

- Wracał po takim odwyku szczęśliwy, wesoły. W takim stanie góry mógł przenosić. Niestety, wystarczyły pierwsze niepowodzenia; wystarczyło, żeby coś nie szło po jego myśli, wtedy gasł i wracał do tego swojego świata. Im bliżej kolejnego odwyku, tym trudniej było się z nim porozumieć. Ale nawet jak tak siedział, taki jakby nieobecny, to nawet wtedy muzyka w nim grała. On był nią przeniknięty do szpiku kości. Coś sobie tam grał na grzebieniu lub harmonijce ustnej, coś sobie mruczał... - wspomina Jerzy Pypłacz, rzeźbiarz, twórca jesionowej rzeźby Ryśka Riedla w tyskim pubie „Pod Jesionami", którego stał się legendą. O tym pubie Riedel napisał piosenkę pt. „Jesiony".

- Tu była taka nasza mała enklawa - wspomina Jerzy Pypłacz. - Przychodzili tu artyści, pisarze. Ludzie ciekawi, nieciekawi. Byliśmy młodzi. Długie włosy, własne poglądy, inne spojrzenie na świat, energia, apetyt na życie, głowy pełne pomysłów. Przychodziliśmy na piwo, gadaliśmy i z tych rozmów, ważnych-nieważnych, rodziły się piosenki. Tu powstała „Cegła", tu się urodziła „Whisky". Oczywiście praca nad całością była później, ale tu była inspiracja, tu powstawały pierwsze zwrotki... Tu dochodziło do prawdziwych koncertów. Duszą takich koncertów był oczywiście Rysiek. Grał ten swój blues, przerabiał stare piosenki, aranżował na nowo, po swojemu - opowiada rzeźbiarz.

O liderze Dżemu mówi: najsłynniejszy z nas.

eprasa.pl bb0228af9d

HISTORIA POPKULTURY

FOT. COLLECTION CHRISTOPHEL/EAST NEWS

Twarzami komedii zostali Louis de Funès, czyli sierżant Ludovic Cruchot i Michel Galabru jako chorąży

# „Żandarm z Saint-Tropez", czyli Francja, której nie ma

Komedia o starszym sierżancie Ludoviku Cruchocie weszła do francuskich kin 9 września 1964 r. Dziś, obok Brigitte Bardot i piosenek Joe Dassina, budzi jedynie sentyment

Mariusz Grabowski

Saint-Tropez sprzed 62 lat już nie ma. Jedynym śladem jest Muzeum Żandarmerii i Kina w dawnym posterunku Cruchota, gdzie amerykańscy turyści-emeryci kupują pocztówki w wizerunkiem uśmiechniętego Louisa de Funèsa.

## Czas inwestycji

Naiwnością byłoby twierdzenie, że kino – najważniejsza ze sztuk, jak mówił ludowy komisarz oświaty Anatolij Łunaczarski – wymyślono dla rozrywki. Filmy powstają dla pieniędzy, ideologii albo w służbie propagandy. „Żandarma z Saint-Tropez" nakręcono po to, by na początku lat 60. promować turystykę na francuskim Lazurowym Wybrzeżu. Jego walory rozrywkowe są tzw. wartością dodaną.

Do tej komedii dorobiono tyle legend i baśni, że starczyłoby na opasłą książkę. Jedną z znaleźć można stronie francuskiswiat.pl. Oto kiedy reżyser i scenarzysta Richard Balducci wakacjował w Saint-Tropez skradziono mu kamerę. A na miejscowym posterunku spotkał tak ciamajdowatych nieudaczników i niezgrabiaszy, że postanowił nakręcić o tym szyderczy film.

Bardziej prawdopodobne jednak, że „Żandarm..." powstał na zamówienie francuskiego lobby turystycznego, którego interesy wciąż kulały na skutek powojennych kłopotów. Ledwo skończyła się wojna w Indochinach, wybuchł konflikt Francji z Egiptem i rozpoczął się trudny rozbrat z dawną kolonią – Algierią. Do tego doszedł kryzys gospodarczy dotykający dotkliwie także turystykę. Dopiero V Republika gen. de Gaulle'a nieco ustabilizowała sytuację. Znów można było inwestować w hotele w Cannes, Antibes, Fréjus, Nicei i sielskim Saint-Tropez.

## Wiecznie żywy

„Żandarma..." wyprodukowały dwie filmowe spółki: francuska Société Nouvelle de Cinématographie (SNC) i francusko-włoska Franca Films, stworzona – jak się wydaje – specjalnie do tego przedsięwzięcia. Budżet nie był mały, wyniósł blisko 1,4 mln franków (w 1960 r. przeprowadzono reformę walutową). Dla porównania „Fantomas", największy hit kinowy 1964 r. we Francji, kosztował niewiele więcej. Okres zdjęciowy był rekordowy, trwał nieco ponad miesiąc.

Twarzami komedii zostali Louis de Funès, czyli sierżant Ludovic Cruchot i Michel Galabru jako chorąży Jérôme Gerber, obaj z górnej półki filmowych francuskich komediantów. De Funès tylko w 1964 r. zagrał w pięciu filmach, zaś Galabru, spec od ról drugoplanowych, miał być tłem charakterystycznym dla jego popisów mimicznych.

Wspomniany już Richard Balducci napisał scenariusz, a na reżysera wybrano Jeana Giraulta, który na „Żandarmie..." i późniejszych kontynuacjach żył spokojnie przez dwie dekady. Ostatni film z Cruchotem – „Żandarm i żandarmetki" nakręcił w 1982 r. Girault dostał fuchę po taniości, a jedna z plotek mówiła wręcz, że po znajomości – jeden z pomniejszych szefów SNC, podobnie jak on pochodził z Villenauxe-la-Grande, małej mieściny w departamencie Aube. Zarekomendował go z powodzeniem dwóm najważniejszym osobom w wytwórni: René Pignèresowi i Gérardowi Beytout.

## Nudyści z Saint-Tropez

Scenariusz „Żandarma..." niezbyt trzyma się kupy. To 90-minutowy ciąg gagów w wykonaniu Louisa de Funèsa, który jako funkcjonariusz Francuskiej Żandarmerii Narodowej w nieco zapyziałym nadmorskim miasteczku wytrwale walczy z przestępczością, głównie z nudystami. Kulminacja następuje w momencie, gdy jego córka Nicole wpada w nieodpowiednie towarzystwo i kradnie razem z kolegą luksusowe auto bogatego gangstera, chcącego kupić poszukiwany przez policję obraz.

Znacznie ważniejsza jest scenaria filmu: cieszące oczy lazurowe morze, sielskie krajobrazy i Pampelonne, piaszczysta plaża w gminie Ramatuelle niedaleko Saint-Tropez. To tam już w 1955 r. kręcono film „I Bóg stworzył kobietę" w reż. Rogera Vadima. Grająca w nim rolę główną Brigitte Bardot promowała wówczas modę na skąpe bikini.

Ukłonem w stronę amerykańskich turystów był ford mustang w wersji kabriolet, jeden z pierwszych egzemplarzy, które trafiły do Europy. Błyszczy w filmie na tle poczciwych citroenów i peugeotów. A także chwytliwy motyw muzyczny – piosenka „Do You Do You Saint Tropez", śpiewana przez Geneviève Grad. Napisał ją Raymond Lefèvre, specjalizujący się w gatunku tzw. easy listening, czyli łatwo wpadającej w ucho.

## Kolacja w Starym Porcie

Na stronie bonjourdefrance.pl czytamy: „»Żandarm z Saint-Tropez« stał się nie tylko ikoną francuskiej kinematografii, ale również magnesem turystycznym przyciągającym tłumy do tego malowniczego miasta. Po premierze filmu liczba odwiedzających Saint-Tropez znacząco wzrosła, co potwierdzają liczne statystyki. Turyści z całego świata przyjeżdżają, aby zobaczyć miejsca, w których kręcono kultowe sceny, a także poczuć atmosferę znaną z ekranu".

Banał, ale chwytliwy. Spójrzmy na tę statystykę. Małe miasteczko, skryte między Cannes a Fréjus faktycznie wyrosło przez ostatnie półwiecze na potęgę turystyczną. Na co dzień mieszka w nim 5,5 tys. ludzi (mniej niż na początku lat 60.), ale jak podają dane merostwa z lat 2019-2022 latem gości średnio 60 tys. turystów. Większość smaży się na Pampelonne, inni oglądają dzieła Pabla Picassa i Georgesa'a Braque'a w Musée de l'Annonciade, jeszcze inni snują się po malowniczych górkach masywu des Maures, a i tak wieczorem wszyscy trafiają do pełnego luksusowych jachtów Starego Portu. Kolację w legendarnej Café Sénéquier, gdzie Henri Matisse pijał swój pastis, jadają jednak tylko najwięksi krezusi. Kapitał nie zna narodowości, ale nieprzypadkowo to najczęściej nowi Rosjanie.

Oni też mieszkają w najbardziej luksusowych hotelach, o których sierżantowi Cruchotowi nawet się nie śniło. W sezonie 2026 oferujący bajeczny widok na zatokę Hotel la Ponche rywalizował ofertą głównie z rustykalnym, otoczonym winnicami Toison D'or. Średnia cena za noc w lipcu: od 15 do 25 tys. zł.

## Patrząc na prawo

Dzisiejsze Saint-Tropez mało przypomina miasteczko z filmu Giraulta. Tłumy przelewające się przez promenadę i port doprowadziłyby by pewnie Cruchota do kolejnego wybuchu szału. Nie ma już małych piekarenek, rybaków, zniknęły urokliwe zaułki, w których zbudowano hotele. Siermiężne Muzeum Żandarmerii i Kina przy Place Blanqui przegrywa z Festiwalem Les Voiles, czyli pokazem wypasionych jachtów, gdzie już od lat królują supernowoczesne jednostki w klasie J. W tym roku festiwal trwać będzie od 26 września do 4 października i spodziewanych jest blisko 300 załóg.

Można powiedzieć, że Saint-Tropez, tak jak całe Lazurowe Wybrzeże, zostało dotknięte syndromem overtourismu. Do tego stopnia, że rząd francuski opracował plan działania, mający na celu „promowanie zrównoważonej turystyki poprzez utworzenie bardziej ekologicznego systemu klasyfikacji hoteli, poprawę infrastruktury rowerowej i inwestycje w transport publiczny".

Ma to swój wymiar lokalny. W 2024 r. Saint-Tropez ogłosiło plan, na razie wstępny, ograniczenia turystyki w lecie. Burmistrz miasteczka Sylvie Siri napisała w nim, że chce, by „miasteczko rozwijało się zwłaszcza dla mieszkańców, inwestowało w biblioteki, sklepy spożywcze i niedrogie mieszkania".

Na koniec spójrzmy na dzisiejsze Saint-Tropez przez pryzmat polityki. Nie wiemy, na kogo głosował żandarm Ludovic Cruchot, ale dzisiaj mieszkańcy miasteczka są zdecydowanie prawicowi. Podobnie jak mieszkańcy departamentu Var oraz całego Lazurowego Wybrzeża. Podczas wyborów parlamentarnych w 2024 r. reprezentant Zjednoczenia Narodowego Philippe Lottiaux zdobył mandat poselski w tutejszym 4. okręgu wyborczym już w pierwszej turze.

eprasa.pl bb0228af9d

WYZWANIE

# 88-letni kapitan Krzysztof Baranowski samotnie walczy z oceanem

Ma 88 lat, za sobą dwa samotne rejsy dookoła świata, osiemnaście razy przekraczał równik. Teraz próbuje po raz trzeci opłynąć glob. Kapitan Krzysztof Baranowski od listopada ubiegłego roku samotnie przemierza morza i oceany na jachcie „Meteor". Obecnie kończy jeden z najtrudniejszych etapów wyprawy przez Ocean Indyjski. Partnerem strategicznym i sponsorem niezwykłego przedsięwzięcia jest opolska firma HART, która włączyła się także w techniczne przygotowanie jachtu. Jeśli Baranowski dopnie swego, po raz kolejny zapisze się w historii światowego żeglarstwa

**Milena Zatylna**

„Żegluga przez Ocean Indyjski. Rozkołysana i mokra. Fale jak kopniaki biją w burtę jachtu" – taką informację zapisał w swym dzienniku kapitan Krzysztof Baranowski pod datą 17 sierpnia.

Kilka dni wcześniej było jeszcze bardziej dosadnie: „Morze niespokojne, rzuca jachtem na wszystkie strony. Nawet pisać trudno. Siedzę w środku, przywiązuję garnki, które fruwają".

Tak wygląda codzienność człowieka, który w wieku 88 lat podjął próbę trzeciego samotnego opłynięcia Ziemi. Bez załogi, która mogłaby przejąć ster, przygotować posiłek, naprawić awarię czy objąć wachtę, kiedy kapitan potrzebuje snu.

Wyprawa rozpoczęła się 16 listopada ubiegłego roku na Teneryfie. Trasa prowadziła przez Atlantyk na Martynikę, dalej do Panamy, przez Kanał Panamski na Pacyfik. Po drodze były także: Tahiti, Wyspy Cooka, Fidżi, Papuę-Nową Gwineę i Darwin w Australii. Następnie „Meteor" ruszył przez Ocean Indyjski w kierunku Mauritiusa. W dalszym planie są Durban i Kapsztad w Republice Południowej Afryki, a następnie Atlantyk i powrót na Teneryfę, gdzie pętla wokół globu ma zostać zamknięta.

Dokładna data zakończenia rejsu nie jest dziś przesądzona. Na oceanie kalendarz ustępuje pogodzie, bezpieczeństwu żeglarza i temu, w jakim stanie jest jacht.

FOT. ARCHIWUM FIRMY HART

**Trzeci rejs Baranowskiego jest wyjątkowy nie tylko dlatego, że podejmuje go człowiek w wieku 88 lat**

## Opolska firma płynie z kapitanem

Choć „Meteor" znajduje się tysiące kilometrów od Polski, w tej historii jest bardzo wyraźny opolski akcent. Partnerem strategicznym i sponsorem wyprawy jest firma HART z Opola.

- Cieszymy się, że możemy wspierać to niezwykłe przedsięwzięcie wspólnie z naszymi partnerami, którzy, podobnie jak my, wierzą w siłę pasji, determinacji i wielkich wypraw – mówi Anna Drozd z firmy HART.

Firma od lat angażuje się w projekty związane ze sportem, motoryzacją i przedsięwzięciami, w których liczą się technika, emocje i przekraczanie własnych ograniczeń. Jak podkreślają przedstawiciele sponsora, projekt „MeteorHART" ma jednak zupełnie inną skalę.

Nie chodzi bowiem tylko o umieszczenie logo na burcie. Firma wspierała techniczne przygotowanie jachtu do wyprawy. Przy samotnym rejsie dookoła świata sprawność wyposażenia przestaje być kwestią komfortu – od niej może zależeć życie człowieka.

– To dla nas zaszczyt wspierać projekt, który przechodzi do historii polskiego żeglarstwa. Wierzymy, że rejs kapitana Baranowskiego zainspiruje nie tylko miłośników morza, ale wszystkich, którzy stawiają sobie ambitne cele – podkreśla Piotr Siłka, właściciel opolskiego przedsiębiorstwa.

Firma wspierała również przygotowania techniczne jednostki. Jak tłumaczą jej przedstawiciele, doświadczenie z branży motoryzacyjnej nauczyło ich, jak istotne są niezawodność, serwis sprzętu i dbałość o szczegóły. W przypadku samotnej żeglugi oceanicznej znaczenie tych rzeczy jest jeszcze większe. I dlatego, kiedy w Panamie na „Meteorze" popsuł się autopilot, a awaria zatrzymała rejs, HART ruszył z pomocą.

Bez sprawnego urządzenia samotna żegluga stawała się niezwykle trudna, a nawet niemożliwa. Nowy autopilot dotarł na jacht w ekspresowym tempie. Obecnie, obok mechanicznego samosteru Windpilot, pomaga prowadzić „Meteora".

Opolska firma utrzymuje też kontakt z kapitanem i otrzymuje jego meldunki z kolejnych etapów podróży. Aby zapewnić tę łączność również na pełnym morzu, HART ufundował kapitanowi system Starlink, dzięki któremu może on korzystać z internetu nawet podczas żeglugi z dala od lądu.

– Kontakt jest regularny, choć oczywiście jego częstotliwość zależy od sytuacji na pokładzie i warunków podczas rejsu. Otrzymujemy informacje o kolejnych etapach podróży, bieżącej sytuacji oraz ciekawych wydarzeniach związanych z życiem na Meteorze – informuje Anna Drozd.

Najważniejsze relacje, zdjęcia i wiadomości są następnie publiko-

eprasa.pl bb0228af9d

wane w internetowym dzienniku wyprawy.

### Fale jak kopniaki

Ostatnie tygodnie pokazują, dlaczego przedsięwzięcie 88-letniego żeglarza trudno traktować jedynie jako efektowną podróż.

Po postoju w Darwin kapitan wypłynął pod koniec lipca w stronę Mauritiusa. To najdłuższy etap całego rejsu. Baranowski przyznawał przed startem, że rusza z „dużą tremą". I szybko okazało się, że respekt wobec Oceanu Indyjskiego był uzasadniony.

W połowie sierpnia „Meteor" zmagał się z falami dochodzącymi do pięciu metrów. Wiatr osiągał prędkość około 26 węzłów. Do tego dochodził rozkołys niosący energię z położonych znacznie bardziej na południe słynnych „Ryczących Czterdziestek". W ciągu dziesięciu dni, od 13 do 23 sierpnia, jacht przesunął się o blisko 1250 mil morskich w linii prostej. To bardzo dobry wynik w takich warunkach.

Trzeba zwrócić też uwagę na specyfikę wyprawy. Na oceanie nawet najprostsza czynność może stać się problemem. Trudno pisać, spać czy ugotować jedzenie, kiedy pokład ucieka spod nóg, a garnki trzeba przywiązywać. Kapitan potrafi jednak opowiadać o tym z humorem.

„Tak gorąco życzyli mi wszyscy »stopy wody pod kilem«, że tych stóp zrobiło się – na Oceanie Indyjskim – piętnaście tysięcy" – żartował 7 sierpnia.

Dwa dni wcześniej kusiła go cywilizacja, a Bali znajdowało się zaledwie około dwóch dni żeglugi od trasy „Meteora". „Przywiążcie mnie do masztu albo zatkajcie uszy woskiem, żebym nie słyszał tych pokus z niedalekiego Bali" – pisał.

Samotny rejs jest bowiem również nieustannym wybieraniem między wygodą a celem. Wystarczyłoby zmienić kurs, wejść do portu, przespać spokojną noc i zjeść kolację przy nieruchomym stole. Ale wtedy plan wyprawy zacząłby się rozsypywać.

### Przywiązany do kuchenki

Jednym z najbardziej charakterystycznych obrazków tej podróży nie jest wcale kapitan stojący dumnie przy sterze. Jest nim Baranowski szyjący pas, którym może przypiąć się do stanowiska przy kuchence. Bowiem na mocno przechylonym jachcie przygotowanie gorącego posiłku staje się niebezpieczne. Kapitan musi jednocześnie utrzymywać równowagę, pilnować garnka i uważać, aby wrzątek nie wylał się na niego. Dlatego na „Indyku" Baranowski urządził sobie własny system zabezpieczenia.

Podobnie wygląda odpoczynek. Samotny żeglarz nie może po prostu położyć się wieczorem i przespać ośmiu godzin. Musi kontrolować kurs, żagle, pogodę i ruch statków.

Krzysztof Baranowski już dwukrotnie samotnie opłynął świat

Kapitan i właściciel firmy HART Piotr Siłka (po prawej)

Baranowski mówił podczas tegorocznego rejsu, że samotna żegluga nauczyła go spać nie dłużej niż po około trzy godziny.

Do tego dochodzi codzienna kontrola urządzeń, zapasów energii i stanu jachtu, analiza prognoz, nawigacja oraz niekończące się drobne naprawy.

### Prąd też jest dobrem, którym trzeba gospodarować

„Oszczędzam prąd. W dzień solary, ale w nocy wyłączam wszystko z wyjątkiem świateł pozycyjnych i lodówki" – informował kapitan 8 sierpnia.

Jedzenie musi być proste do przygotowania i trwałe. Na trudnych odcinkach najważniejsze jest to, by można było szybko zrobić coś ciepłego i kalorycznego. Świeże produkty uzupełnia się podczas postojów w portach. Jest w tym pewna ironia. Baranowski wspomina, że pierwszy wielki rejs na „Śmiałym" odbył jako kuk, czyli pokładowy kucharz. Spędził w kambuzie 16 miesięcy.

„Zostałem kapitanem, bo nie lubiłem gotować" – żartuje dziś. Na samotnym rejsie od kuchni oczywiście uciec nie może.

### Jacht piękny, szybki i wymagający

Bohaterem wyprawy jest także sam „Meteor". To niezwykła jednostka. Na pierwszy rzut oka może wyglądać jak jacht sprzed stu lat. W rzeczywistości został zbudowany w 2006 roku w brytyjskiej stoczni Farrow & Chambers według projektu Stephena Jonesa.

„Meteor" jest klasycznym jachtem regatowym stylizowanym na jednostki z lat 20. XX wieku. Ma drewniano-epoksydową konstrukcję i niezwykle smukłą sylwetkę. Wielokrotnie zwyciężał w swojej klasie w prestiżowych regatach Panerai British Classic Yacht Club. Ma 46 stóp, czyli około 14 metrów długości, zaledwie 10 stóp – około 3 metrów – szerokości, 8 stóp zanurzenia i wyporność 6,9 tony. Portem macierzystym „Meteora" jest Szczecin.

Smukłość daje mu znakomite właściwości żeglarskie, ale nie oznacza wygody porównywalnej ze współczesnym turystycznym jachtem. To jednostka podporządkowana żeglowaniu. I, jak każdy jacht w tak długiej podróży, „Meteor" domaga się uwagi.

Opolska firma płynie z kapitanem Krzysztofem Baranowskim

Już w grudniu kapitan musiał przez kilka godzin naprawiać samoster zawieszony na rufie przy wietrze dochodzącym do 30 węzłów.

W kolejnych miesiącach zdarzały się kolejne pilne naprawy. W Papui-Nowej Gwinei „Meteor" znów wymagał prac technicznych. W Darwin przed wejściem do najdłuższego etapu również przygotowywano jednostkę do kolejnych tysięcy mil żeglugi.

Ocean szybko przypomina, że samotny żeglarz musi być jednocześnie kapitanem, mechanikiem, elektrykiem, nawigatorem, kucharzem i ratownikiem.

### Mała mrówka omal nie zatrzymała kapitana

Nie wszystkie przygody mają jednak wymiar dramatyczny. W Australii podczas kontroli jachtu pies służb sanitarnych znalazł na pokładzie... jedną mrówkę. Owad trafił do fiolki, a służby musiały ustalić, czy nie stanowi zagrożenia dla australijskiego ekosystemu. „Meteor" przeszedł około dziesięciogodzinną kwarantannę i sanityzację kadłuba. Ostatecznie mrówka została uznana za nieszkodliwą.

Baranowski zaznacza, że najprzyjemniejsze chwile tej podróży to te, kiedy podczas postojów kapitan spotyka Polaków mieszkających tysiące kilometrów od kraju.

### Jak 88-latek przygotowuje się do takiej wyprawy?

Odpowiedź może zaskoczyć tych, którzy wyobrażają sobie kapitana jako statecznego emeryta wspominającego dawne rejsy. Baranowski praktycznie nie przestał być aktywny. Żegluje od 15. roku życia i regularnie wraca na morze. Drugą jego wielką pasją są narty. Każdego roku spędza na nich kilka tygodni, jeździ m.in. w slalomie gigancie.

Jeszcze przed wyprawą podkreślał, że właśnie narciarstwo jest znakomitym przygotowaniem do sezonu żeglarskiego. Trening nóg, równowagi, refleksu i wytrzymałości ma później bardzo praktyczne znaczenie na pokładzie, który przez wiele dni nie przestaje się poruszać.

Do tego dochodzi doświadczenie, które jest kluczowe: dziesiątki lat podejmowania decyzji na morzu, znajomość zachowania jachtu, pogody i własnego organizmu.

### Człowiek, który już dwa razy opłynął świat

Trzeci rejs Baranowskiego jest wyjątkowy nie tylko dlatego, że podejmuje go człowiek w wieku 88 lat.

Kapitan należy do największych postaci polskiego żeglarstwa oceanicznego.

Pierwszy samotny rejs dookoła świata odbył na „Polonezie" w latach 1972–1973. Drugi – na jachcie „Lady B." na przełomie lat 1999–2000. Tym samym został pierwszym Polakiem, który dwukrotnie samotnie opłynął kulę ziemską. Był też pierwszym Polakiem, który samotnie pokonał przylądek Horn.

Ale jego znaczenie dla polskiego żeglarstwa nie kończy się na własnych rekordach.

Baranowski był inicjatorem przedsięwzięć związanych z budową „Pogorii" i „Fryderyka Chopina". Stworzył Szkołę pod Żaglami, wychowującą kolejne pokolenia młodych ludzi poprzez pracę i życie na morzu. Jest dziennikarzem, autorem kilkudziesięciu książek i ponad 50 filmów dokumentalnych. Został uhonorowany m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Dlatego obecna wyprawa jest czymś więcej niż kolejnym rejsem seniora, który nie chce zrezygnować ze swojej pasji. To próba dopisania kolejnego rozdziału do życiorysu człowieka, który od ponad siedmiu dekad związany jest z morzem i tworzy historię polskiej żeglugi.

eprasa.pl bb0228af9d

ZBRODNIE SPRZED LAT

# Czy hrabia był mordercą?

Z zeznań świadków wynikało, że gimnazjalista, którego brutalnie zamordowano, został zwabiony do pokoju w pensjonacie przez trzech mężczyzn. Jednym z nich miał być wysoki postawny szatyn z rudawymi wąsami, o arystokratycznych manierach

**Mariusz Gadomski**

Hrabia Bogdan Marian Wincenty Jaxa–Ronikier herbu Gryf był cenionym i utalentowanym pisarzem i znaną postacią warszawskiej socjety w pierwszych latach XX wieku. W 1910 roku został oskarżony o zabójstwo szwagra. W głośnym procesie sąd skazał go na kilkanaście lat ciężkich robót, mimo iż wina Ronikiera nie została w pełni dowiedziona.

## Skręć pan tej sprawie łeb!

Bogdan Ronikier urodził się w 1873 r. w Korytnicy (ówczesna gubernia siedlecka) w środowisku ziemiańskim. Sytuacja materialna jego rodziców nie należała do najlepszych. A po śmierci hrabiego Adama, wdowa po nim, Wanda z Chrzanowskich, wychowując troje dzieci, z trudem wiązała koniec z końcem. Zadbała jednak o to, żeby syn Bogdan, przejawiający od najmłodszych lat wszechstronne zdolności, zdobył wykształcenie.

Młody hrabia uczył się w gimnazjach w Warszawie, Częstochowie i Piotrkowie a potem również w Niemczech. W 1899 r. ukończył wydział matematyczno– filozoficzny uniwersytetu w Monachium. Już w wieku 13 lat zaczął pisać. Jego wiersze i krótkie nowele były drukowane w ulotnych gazetach studenckich. Po studiach przyjechał do Warszawy. Przez pewien czas redagował tygodnik „Kurier Świąteczny". Ambicje literackie Ronikiera (a właściwie Jaxy–Ronikiera, bo tak sygnował swoje dzieła) sięgały znacznie wyżej. Rozgłos przyniosły mu utwory dramatyczne, w których zgłębiał ciemną stronę ludzkiej psychiki, pisząc m.in. o morderstwach.

Z literatury ciężko mu było wyżyć. Grał więc hazardowo w karty, zajmował się biznesem, a przede wszystkim bogato się ożenił. Wybranką Ronikiera została jego siostra cioteczna (!) Ksawera Chrzanowska. Rodzice, właściciele majątku w Tuczapach w powiecie Tomaszów Lubelski początkowo niechętni hrabiemu, dali się w końcu przekonać córce. Ślub odbył się w 1906 r. w parafii Nabrodzie Ronikier nabył majątek w Łuszczewie i zamieszkał w nim z żoną i dziećmi, których mieli troje. Często jednak przebywał w Warszawie.

13 maja 1910 r. w pokoju pensjonatu przy ulicy Marszałkowskiej znaleziono zmasakrowane zwłoki 17–letniego Stanisława Chrzanowskiego, ucznia gimnazjum Wróblewskiego, młodszego brata żony Bogdana Ronikiera. Chłopak został zamordowany dzień wcześniej silnymi ciosami, zadanymi w głowę twardym przedmiotem o tępych krawędziach.

Poszlaki wskazywały na Ronikiera. Rysopis jednego z mężczyzn, którzy, jak zeznali świadkowie, zwabili chłopca do pensjonatu idealnie pasował do hrabiego. Śledztwo warszawskiej policji ujawniło, że przygotowania do zbrodni trwały od dłuższego czasu. Człowiek, łudząco podobny do Ronikiera już w lutym 1910 r. wynajął pokój w pensjonacie przez podstawioną kobietę, a potem wielokrotnie tu przychodził. Na polecenie mężczyzny z rudawymi wąsami, w miejsce łóżka wstawiono otomanę i wymieniono dywan.

FOT. WIKIPEDIA

**Hrabia Bogdan Marian Wincenty Jaxa–Ronikier herbu Gryf miał ambicje literackie. Rozgłos przyniosły mu utwory dramatyczne, w których zgłębiał ciemną stronę ludzkiej psychiki, pisząc m.in. o morderstwach**

Ronikiera obciążały nie tylko zeznania świadków, ale własna nieostrożność. W czasie rozmowy z agentami policji zdradził się, że zna rozkład pokoju, w którym doszło do morderstwa, chociaż chwilę wcześniej zarzekał się, że nigdy w nim nie był. Miał też zwrócić się do nich z prośbą, żeby „sympatycznie odnoszono się do rodu Ronikierów" i w ogóle, żeby zaniechano śledztwa.

– Skręć pan tej sprawie łeb – rzekomo powiedział do Ludwika M. Kurnatowskiego, kierownika Kancelarii Urzędu Śledczego w Warszawie.

## Był i nie był w Lublinie

Ronikierowi postawiono zarzut zabójstwa a o współudział oskarżono właściciela pensjonatu, Zalewskiego i numerowego Sieniawskiego. Mieli pomóc hrabiemu zwabić w pułapkę Stanisława Chrzanowskiego. Notabene, ci sami mężczyźni wskazali na Ronikiera, rozpoznając w nim człowieka, który w lutym wynajął pokój.

Przeciwko oskarżeniu protestowały matka i żona hrabiego. Natomiast rodzice zamordowanego ucznia uważali Ronikiera za wielce prawdopodobnego sprawcę zbrodni. Szczególnie wrogą postawę wobec zięcia okazywał Bronisław Chrzanowski. Nigdy nie zaakceptował małżeństwa córki z tym człowiekiem. Nie dlatego, że byli skuzynowani. Ronikiera miał bowiem za lekkoducha i hochsztaplera, który ożenił się z Ksawerą jedynie dla pieniędzy.

Chrzanowski zapisał wart 800 tysięcy rubli majątek trójce swoich dzieci: synom Janowi i Stanisławowi oraz córce Ksawerze. Jednak największa część schedy miała przypaść najmłodszemu Stanisławowi. I tu, zdaniem Chrzanowskiego, tkwił motyw zbrodni. Gdyby Staś umarł, należna mu część majątku zostałaby w przyszłości rozdzielona między Jana i Ksawerę. Z prostego rachunku wynikało, że na śmierci szwagra Ronikier do spółki z żoną zyskiwał 150 tysięcy rubli.

Powodem wrogości Chrzanowskich do zięcia były też słowa hrabiego o rzekomym homoseksualizmie ich syna. Śledczy próbowali ustalić, co sprawiło, że młodzieniec wywodzący się ze znamienitej familii i mający opinię cnotliwego, dał się namówić mordercy na pójście do podejrzanego hoteliku. Ponieważ pokój po dokonanych zmianach w umeblowaniu wyglądał jak miejsce schadzki, nasunęło się przypuszczenie, że Chrzanowski został tu ściągnięty obietnicą spotkania z jakąś kobietą. Ronikier uważał to za prawdopodobne, ale jego zdaniem szwagier wolałby randkę z mężczyzną.

Po przedstawieniu zarzutu przez sędziego śledczego, Ronikier zaprzeczył, że zamordował szwagra. Oświadczył, że w czasie morderstwa bawił w Lublinie. Jako dowód niewinności pokazał rachunek z Hotelu Polskiego. Widniały na nim podane przez niego daty i godziny, niemniej policja bardzo dokładnie sprawdziła alibi hrabiego. Okazało się, że Ronikier faktycznie zameldował się w lubelskim hotelu, ale obsługa zeznała, że ani razu w nim nie nocował. Z całą pewnością mógł pojechać pociągiem 12 maja do Warszawy, zabić szwagra, następnie udać się znów do Lublina.

## Jestem brat Teodor...

Po uwięzieniu zaczął symulować obłęd. Twierdził, że nie nazywa się Bogdan Ronikier, lecz jest bratem Teodorem z zakonu świętego Klemensa. O więzieniu mówił, że to klasztor.

Rozprawa rozpoczęła się 11 kwietnia 1911 roku. Do wypełnionej publicznością i dziennikarzami sali Sądu Okręgowego w Warszawie wprowadzono człowieka z długą brodą, ubranego w mnisi habit. Spytany o nazwisko, odpowiedział z powagą: – Jestem brat Teodor...

W procesie przesłuchano m.in. żonę Ronikiera, członków najbliższej rodziny, nauczycieli i kolegów szkolnych zamordowanego Stanisława Chrzanowskiego, kolejarzy, posłańców i służących z hoteli w Warszawie i w Lublinie, a także właścicielkę składu z dywanami, u której Ronikier rzekomo kupił dywan, rozłożony następnie w pokoju, gdzie został zabity jego szwagier. Motywem zbrodni miał być zamiar przejęcia prawa do majątku Chrzanowskich Oskarżenie opierało się jednak na poszlakach.

Jeden z obrońców Ronikiera stwierdził, że poszlaki to nie dowody. Z pewnością nie są nimi zeznania świadków, którzy stwierdzili, że rozpoznali w oskarżonym człowieka, który zwabił Stanisława Chrzanowskiego do pokoju w pensjonacie, ponieważ zasiadali w tej samej sprawie na ławie oskarżonych. Wytknięto niedociągnięcia śledztwa. Policja nie potrudziła się, żeby odtworzyć przebieg zabójstwa. Ba – nie udało się nawet ustalić narzędzia zbrodni. Motyw, zdaniem obrony, także jest bardzo wątpliwy. Ronikier dzięki ożenkowi i tak był człowiekiem majętnym. Usunięcie szwagra nie otwierało mu drogi do dalszych bogactw, bo wciąż na niej stał teść. Dopiero śmierć Bronisława Chrzanowskiego zwiększyłaby stan posiadania Ronikierów. Hrabia, chociaż udaje wariata, nie jest na tyle szalony, żeby dla odległych gruszek na wierzbie popełnić morderstwo.

Mimo iż argumenty obrony nie były pozbawione słuszności a wątpliwości powinny świadczyć na korzyść oskarżonego, sąd uznał Bogdana Ronikiera winnym zabójstwa Stanisława Chrzanowskiego. Wyrokiem z dnia 11 października 1911 roku, skazał go na karę 15 lat katorgi. Właściciel pensjonatu i numerowy zostali uniewinnieni.

Odbyły się jeszcze dwa procesy odwoławcze. Ostatni wyrok, skazujący Ronikiera na 11 lat ciężkich robót i dożywotnie osiedlenie się na Syberii zapadł 12 stycznia 1914 r. – A jednak jestem niewinny – skwitował hrabia postanowienie sądu.

## Powrót do Zamościa

Po wybuchu I wojny światowej i zajęciu Warszawy przez armię rosyjską, Ronikier odsiadujący wyrok w więzieniu na Mokotowie miał zostać deportowany w głąb Rosji. Najprawdopodobniej dzięki łapówce i uzyskaniu sfałszowanego zaświadczenia, że jest chory na tyfus, uniknął wywózki. Do końca wojny przebywał w zakładzie karnym.

W 1918 r. wyszedł na wolność dla podreperowania zdrowia. Przyjechał z Roni kier żoną i dziećmi do Zamościa i zamieszkał w kamienicy przy Rynku Wielkim. Rzucił się w wir interesów. Ze wspólnikami założył Hurtownię Spożywczą Powiatu Zamojskiego, która w istocie zajmowała się spekulacją trudnodostępnymi towarami. Po sprzedaniu majątku w Łuszczewie wyjechał z rodziną do Austrii. Po czterech latach został deportowany do Polski i wrócił do więzienia. W 1927 r. na prośbę matki Ronikiera, prezydent I. Mościcki wydał akt ułaskawienia, darując mu resztę kary (dwa lata i osiem miesięcy).

Prawdopodobnie już w latach 30. Ronikier miał problemy ze wzrokiem. Groziła mu ślepota i potrzebował pieniędzy na leczenie. Zdobywał je, m.in. prowadząc w Warszawie nielegalny dom gry. Wrócił też do pisania. W 1933 r. wydał opartą na faktach powieść „Dzierżyński, Czerwony kat", która została wysoko oceniona przez krytykę. Jego pierwsza żona zmarła w 1923 r. Z drugą się rozszedł. Z dziećmi i dalszą rodziną utrzymywał sporadyczne kontakty.

Przed wybuchem II wojny światowej Ronikier przeniósł się na stałe do Zamościa, gdzie całkowicie niewidomy przetrwał okupację i spędził w zapomnieniu resztę życia. Zmarł 4 stycznia 1956 r. Został pochowany na zamojskim cmentarzu parafialnym.

**PS. O sprawie hrabiego Ronikiera piszę szczegółowo w książce „Tajemnica Hipka Wariata" (Wydawnictwo Oficynka, 2023)**

eprasa.pl bb0228af9d

PKO EKSTRAKLASA

# W końcówce była niezła draka, gość przyćmił dublet Czubaka

## Kiedyś Żewłakow w Legii Warszawa bronił. Obecnie - drugi strzela. Jakub, syn Michała, w Lublinie zdobył dwa gole na wagę 3 punktów

**Jacek Czaplewski**

To pierwsze trafienia 19-letniego zawodnika w pierwszej drużynie z Łazienkowskiej. W weekend błysnął również Piast Gliwice, zaś to znów nie popisał się Widzew Łódź.

Ze względu na rozgrywaną w zeszłym tygodniu I rundę Pucharu Polski 7. kolejka PKO Ekstraklasy wystartowała w piątek dopiero o godz. 20:30 i potrwa aż do poniedziałkowej nocy, bo mecz Pogoni Szczecin z Wisłą Płock dobiegnie końca około godz. 23.

Ligowe granie rozpoczęło się od niespodzianki. Mecz o prymat na Górnym Śląsku nieoczekiwanie gładko wygrał Piast Gliwice, strzelając trzy gole. Owszem, zespół Daniela Myśliwca był już ostatnio w niezłej formie, ale chyba nikt, łącznie z jego kibicami nie spodziewał się aż takiego lania sprawionego GieKSie Katowice, która przecież dopiero co ograła niepokonanego wcześniej Górnika Zabrze. Spotkanie było ciekawe i trzy punkty zasłużenie zostały przy Okrzei. 40-letni trener wykonuje tam fantastyczną pracę. Mimo mocno ograniczonych środków osiąga wyniki ponad stan. Dowód? Wystarczy sprawdzić tabelę za jego kadencji; okazuje się, że lepiej wypadają tylko 4 (!) zespoły.

W Piaście cieszą się z Myśliwca, natomiast w Widzewie Łódź martwią bylejakością. Po odpadnięciu z Pucharu Polski z Koroną Kielce piłkarze Aleksandara Vukovicia nie byli w stanie ani razu zaskoczyć Radomiaka. Bogiem a prawdą - to rywale stworzyli lepsze okazje. W tym bezbramkowym meczu nie zabrakło kontrowersji sędziowskich. Arbiter Bartosz Frankowski nie wyrzucił z boiska stopera gospodarzy Przemysława Wiśniewskiego za brutalny faul. Potem anulował jego gola samobójczego, dopatrując się przewinienia (decyzja słuszna - Ronaldo Lumungo sfaulował Emila Kornviga). Łodzianie już czwarty raz w siódmym występie podzielili się punktami i znowu są bliżej do strefy spadkowej niż podium, które określane jest jako cel na ten sezon.

FOT. PAP/WOJTEK JARGIŁO

Dwa trafienia Karola Czubaka to było za mało, aby pokonać Legię

W okolicach podium mogła się za to zakręcić równie ambitna Korona, która wykupiła z Rakowa Michaela Ameyawa. W drugiej połowie jednak wyraźnie spuściła z tonu, za co została skarcona w doliczonym czasie, kiedy siedemnastą bramkę w ekstraklasie, ale pierwszą w barwach Wisły Kraków, zdobył stoper Alan Uryga. Wcześniej wszyscy zachwycali się trafieniem byłego reprezentanta Czech Ondreja Lingra, który dorobek strzelecki w kieleckiej drużynie zaczął budować podczas ligowego debiutu.

Zupełnie nieoczywistego bohatera ma za to Legia . Na fotel lidera, przynajmniej na chwilę, wskoczyła dzięki Jakubowi Żewłakowowi. Zmiennik w deszczowym meczu z Motorem Lublin przyćmił dublet Karola Czubaka. W końcówce odpowiedział dwoma golami, którymi jego drużyna zrewanżowała się za wtorkową porażkę w Pucharze Polski. - Wydaje mi się, że jesteśmy drużyną, której można wszystko zarzucić, ale nie można nam odebrać wiary. Zawsze wierzymy do końca - stwierdził nastolatek.

W meczu w Lublinie, tak jak i w poprzednich, kilka spektakularnych interwencji zaliczył Otto Hindrich. Gdyby nie Rumun, to nawet dublet młodego Żewłakowa okazałby się na nic. Za tydzień do stolicy przyjeżdża Widzew i w klasyku zweryfikuje formę Legii, która ostatnio jest daleka od oczekiwań.

7. KOLEJKA EKSTRAKLASY

**PIAST GLIWICE - GKS KATOWICE** 3:0
**Bramki:** Sanca 5, Juande 35, Vallejo 85

**WIDZEW ŁÓDŹ - RADOMIAK** 0:0

**KORONA KIELCE - WISŁA KRAKÓW** 1:1
**Bramki:** Lingr 24 - Uryga 90+2

**MOTOR LUBLIN - LEGIA WARSZAWA** 2:3
**Bramki:** Czubak 65, 68 - Augustyniak 45k., Żewłakow 90+5, 90+11

**CRACOVIA - GÓRNIK ZABRZE** 0:1
**Bramka:** Urbański 81 k.

TABELA PKO BP EKSTRAKLASY

| | | | |
|---|---|---|---|
| 1. Legia Warszawa | 7 | 15 | 15-6 |
| 2. Górnik Zabrze | 6 | 15 | 12-7 |
| 3. Lech Poznań | 5 | 13 | 10-4 |
| 4. Wisła Kraków | 7 | 11 | 13-11 |
| 5. Piast Gliwice | 7 | 10 | 13-13 |
| 6. GKS Katowice | 6 | 9 | 12-9 |
| 7. Jagiellonia Białystok | 5 | 9 | 9-7 |
| 8. Korona Kielce | 6 | 9 | 7-5 |
| 9. Pogoń Szczecin | 5 | 8 | 7-4 |
| 10. Zagłębie Lubin | 5 | 8 | 5-4 |
| 11. Cracovia | 7 | 8 | 6-8 |
| 12. Radomiak Radom | 7 | 8 | 6-13 |
| 13. Widzew Łódź | 7 | 7 | 10-10 |
| 14. Śląsk Wrocław | 6 | 6 | 8-9 |
| 15. Motor Lublin | 7 | 5 | 8-13 |
| 16. Wisła Płock | 5 | 4 | 3-10 |
| 17. Wieczysta Kraków | 5 | 3 | 8-12 |
| 18. Raków Częstochowa | 5 | 0 | 6-13 |

**Program 8. kolejki:**

**Piątek 11.09**
Raków Częstochowa - Motor Lublin (godz. 18.00)
Wisła Kraków - Jagiellonia Białystok (godz. 20.30)

**Sobota 12.09**
Śląsk Wrocław - Korona Kielce (godz. 14.45)
Górnik Zabrze - Lech Poznań (godz. 17.30)
Zagłębie Lubin - GKS Katowice (godz. 20.15)

**Niedziela 13.09**
Wisła Płock - Cracovia (godz. 12.15)
Pogoń Szczecin - Wieczysta Kraków (godz. 14.45)
Legia Warszawa - Widzew Łódź (godz. 17.30)

**Poniedziałek 14.09**
Radomiak Radom - Piast Gliwice (godz. 19.00)

JEDENASTKA KOLEJKI

NAJLEPSI STRZELCY

**6 goli**
Jordi Sanchez Rina (Wisła Kraków)

**5 goli**
Ilya Shkurin (GKS Katowice)
Karol Czubak (Motor Lublin)

**4 gole**
Leandro Sanca (Piast Gliwice)

BOHATER WEEKENDU

**Jakub Żewłakow**
(Legia Warszawa)
Syn Michała Żewłakowa pierwszy raz w karierze na ustach kibiców stołecznej drużyny. 19-latek wszedł na końcówkę w wyjazdowym meczu z Motorem Lublin i dubletem odwrócił wynik już w doliczonym czasie z 1:2 na 3:2, przyćmiewając dwa gole Karola Czubaka. Jego wyczyn skomentował w Canal+ Sport... wujek, Marcin Żewłakow, brat bliźniak Michała. - Po takim występie czuję ekscytację - wyznał na gorąco bohater soboty, Żewłakow junior.

FOT. SYLWIA DĄBROWA POLSKA PRESS

ECHA SPOD SZATNI

# Papszun zaskoczył w Lublinie. Czy Vuković już nie walczy o podium?

**Jakub Jabłoński**

**Marek Papszun po wyszarpanym zwycięstwie w Lublinie odniósł się do relacji z dziennikarzami, którzy w ostatnim czasie - jego zdaniem - za bardzo manipulują wypowiedziami na konferencjach. - Nie tędy droga - orzekł.**

Papszun rozpoczął konferencję od odniesienia się do relacji z przedstawicielami opinii publicznej. - Dzisiaj każde słowo trzeba ważyć. Możesz coś powiedzieć w dobrej wierze, chcąc coś wytłumaczyć, a później zostanie to przeinaczone, nadinterpretowane czy zmanipulowane. Trudno się dzisiaj komunikuje z opinią publiczną, bo nastawienie jest bardzo agresywne na to, żeby wyciągnąć coś z kontekstu, zrobić z tego chwytliwy tekst i puścić w świat.

- Mam wrażenie, że czasami przestaje się liczyć sama piłka nożna i mówienie o niej, a zaczyna się liczyć czekanie: „Co ten Papszun nam powie?", żeby to się klikało, poszło w eter, a później można było to jeszcze podkręcić czy zinterpretować na swój sposób. Nie tędy droga. Jeżeli chcemy rozwijać piłkę, musimy bazować na faktach.

Legia z Motorem długo się męczyła, aż dwukrotnie skruszył mur Jakub Żewłakow.

- Uważam, że dobrze rozgrywaliśmy to starcie, miało to miejsce przed stratą bramki. Do 64. minuty Motor nie mógł nam za bardzo zagrozić. Widziałem już jednak symptomy tego, że za bardzo idziemy w prostotę i chcemy przetrwać. To nigdy się nie sprawdza. Pierwsza bramka oponentów padła w sposób, przed którym się ostrzegaliśmy - tłumaczył. - To martwi, bo podobnie było przy drugim golu. Mbaye Ndiaye wygrał pojedynek na skrzydle i dał prostopadłe podanie. W zbyt prosty sposób straciliśmy prowadzenie – zakończył.

Swoje oczekiwania przed meczem 7. kolejki PKO BP Ekstraklasy miał Aleksandar Vuković. Trener Widzewa przed spotkaniem z Radomiakiem przyznał, że jego zespół stać na włączenie się do walki o ligowe podium.

Jak to się skończyło? Po rozczarowującym remisie w Sercu Łodzi z Radomiakiem (0:0) musiał posypać głowę popiołem i wycofać się z ambitnych zapowiedzi. Serb na pomeczowej konferencji przyznał, że przed Widzewem jeszcze - naprawdę - dużo pracy.

- Nie jestem zadowolony z naszego dzisiejszego wyniku i dorobku punktowego, który jest po prostu słaby. Mówiłem o top 3, bo uważam, że zespół ma na tyle dużo jakości, że stać go na taki rezultat. Trzeba to jednak przełożyć na boisko, a po dzisiejszym meczu nie uważam, żebyśmy byli na to gotowi - zakończył szkoleniowiec.

eprasa.pl bb0228af9d

LIGA MISTRZÓW

# To wyścig długodystansowy, elitarny. Niestety, znów bez zespołu z Polski

Jaromir Kruk

**WChampions League miał zagrać Lech Poznań, ale przegrał z duńskim Aarhus. Znów zabraknie więc mistrza Polski, a trzeba przyzwyczaić się też, że nie zobaczymy tu już Roberta Lewandowskiego.**

FOT. GRZEGORZ WAJDA

Polscy kibice muszą przywyknąć, że w UEFA Champions League nie będzie już Roberta Lewandowskiego

W poprzednim sezonie z drugiego z kolei triumfu w Lidze Mistrzów cieszyli się piłkarze PSG prowadzeni przez Luisa Enrique. W sierpniu dołożyli do swojej gabloty kolejny Superpuchar Europy (pokonali Aston Villę w Salzburgu), ale potem przyszły problemy. Czy przekreślą plany na zawojowanie Champions League w obecnym sezonie?

### Kłopoty obrońcy trofeum

Przegrany Superpuchar Francji z Lens, falstart w Ligue 1 – w trzech meczach ledwie 2 punkty i już 7 „oczek" straty do AS Monaco, któremu Paryżanie ulegli 1:2. Luis Enrique, trener, z którym przedłużono umowę do 2030 roku, uważa jednak, że nie ma powodów do paniki, na pewno też wielu jego podopiecznych potrzebuje nieco czasu, by złapać odpowiedni rytm. W tym gronie jest też Ferran Torres, nabytek z Barcelony, zdobywca gola dla Hiszpanii w finale mundialu z Argentyną. – Przyszedłem do najlepszej drużyny w Europie, która dwa razy wygrała Ligę Mistrzów. Wiemy, że będziemy pod większą presją, ale prowadzi nas wielki trener – mówi Torres.

Jego nowy szkoleniowiec nie ukrywa zadowolenia z transferu, bohater mundialu zdobył już 2 gole w spotkaniu z Rennes (2:2) i liczy na niego w Lidze Mistrzów. Na dzień dobry Książęta z Paryża zagrają ze Slovanem Bratysława powracającym do europejskiej elity po sezonie przerwy (grali wówczas w Lidze Konferencji). Ważnym ogniwem ekipy Yaya Toure, legendy Wybrzeża Kości Słoniowej, jest Petr Pokorny – w latach 2023-2025 zawodnik Śląska Wrocław (47 meczów w ekstraklasie).

### Rodacy w akcji

Polscy fani zastanawiają się, dlaczego do Champions League może się przebić Slovan, Sabah Baku z Tymoteuszem Puchaczem (został tam czołową postacią), dwa kluby z Norwegii (debiutuje Viking Stavanger, swego czasu rywal Legii w Pucharze Zdobywców Pucharów), a nie potrafi mistrz Polski, to już jednak temat na szerszą rozprawę.

Z naszych rodaków największe szanse na odegranie poważnej roli w Lidze Mistrzów ma Piotr Zieliński z Interem. Liczymy jednak również na dobre występy trójki Jan Bednarek – Jakub Kiwior – Oskar Pietuszewski w FC Porto, Matty Casha, który pozostał w Aston Villi, choć miał propozycję z Evertonu, czy Michała Skórasia w Lens (niestety, kontuzja wyeliminowała będącego w świetnej formie jego klubowego kolegę Maika Nawrockiego).

Mocny w Sabah jest Puchacz, coraz lepiej w Slavii Praga prezentują się Wiktor Nowak i Oskar Kubiak. Niestety, słabnie pozycja Jakuba Modera w Feyenoordzie (kłopoty zdrowotne), a z AS Roma do Monzy wypożyczony został Jan Ziółkowski. Wypada jeszcze wspomnieć o rezerwowym bramkarzu Barcelony – Wojciechu Szczęsnym, który po Euro 2024 zrezygnował z gry w reprezentacji Polski.

### Pragmatyczny Arsenal

Luisowi Enrique i graczom PSG na pewno nie znudziło się wygrywanie Ligi Mistrzów, ale konkurencja nie śpi, kolejka kandydatów do triumfu w sezonie 2026/27 jest bardzo długa. – Chciałbym, żeby w końcu Ligę Mistrzów wygrał Arsenal. Pragmatyczny styl gry Mikela Artety przynosi sukcesy, Kanonierzy odzyskali tron w Premier League, a w Champions League doszli do finału, gdzie ulegli maszynie z Paryża – mówi Rafał Boguski, 6-krotny reprezentant Polski, legenda Wisły Kraków.

Arsenalowi bardzo zależało na pozyskaniu Juliana Alvareza, ale Argentyńczyk, który zawiódł na mundialu, chciałby z Atletico Madryt przejść tylko do Barcelony i odrzucił opcję powrotu do Premier League. Zamieszanie z Alvarezem nie wpływa dobrze na zespół Diego Simeone, który tuż przed startem Ligi Mistrzów uległ w Bilbao tamtejszemu Athletic 0:3, a pierwszego gola strzelił Nico Williams – mistrz świata z Hiszpanią. Z kadry Luisa de la Fuente wypisał się natomiast Marcos Llorente, a uczynił to już w wieku 31 lat.

– Mam świadomość, że jestem jeszcze młody i mógłbym w tej kadrze grać kilka lat. To była jednak decyzja podjęta sercem – przyznał Llorente, który blado wypadł w Bilbao. Za Atletico nie przepada inny złoty medalista mundialu, Dani Olmo z Barcelony, który skrytykował Los Colchoneros za złe traktowanie Alvareza. Czy z Alvarezem, czy bez niego - Barcelona naszpikowana gwiazdami tegorocznych finałów MŚ to jeden z głównych faworytów Champions League 2026/27.

### Barca rzuci wyzwanie PSG?

– Też liczę na Barcelonę, jej gra – przynajmniej momentami - porywa. Real Madryt pod wodzą Jose Mourinho z Denzelem Dumfriesem i Markiem Cucurellą na bokach obrony to też prawdziwa maszyna, podobnie jak Bayern Monachium. Do wpadek gigantów w krajowych ligach teraz nie ma co przywiązywać wagi. Liga Mistrzów to wyścig długodystansowy – przekonuje Boguski.

– Te rozgrywki mobilizują każdego piłkarza. Nie zapomnę nigdy swojego występu na stadionie Blackburn Rovers z Legią. Już w 90. latach była wspaniała otoczka, a szczególnie w Anglii to w ogóle już wówczas było coś pięknego – dodaje Piotr Mosór, zasłużona postać Legii Warszawa, ojciec Ariela, obrońcy Korony Kielce, który kibicuje Barcelonie i klubom angielskim.

Za Barcą jest też Marek Rzepka, legenda poznańskiego Lecha, uczestnik pamiętnych bojów Kolejorza z Dumą Katalonii w 1988 roku. – Kto wygra? Na pewno piękny futbol. Mam też jednak nadzieję, że Polacy pokażą się z dobrej strony – mówi Rzepka, 15-krotny reprezentant Polski.

Ligę Mistrzów 2026/27 transmitować będzie Canal+ na swoich kanałach, ale niektóre mecze będzie można obejrzeć również w TVP; w najbliższy wtorek starcie FC Porto – Manchester City, które ma sędziować Szymon Marciniak.

**LIGA MISTRZÓW – 1. KOLEJKA**

**8. 09, wtorek**
AEK Ateny – LASK Linz (godz. 18.45)
FC Brugge – Aston Villa (18.45)
Borussia Dortmund – Villarreal (21.00)
FC Porto – Manchester City (21.00)
Lille – Betis (21.00)
Real Madryt – Inter (21.00)
**9.09, środa**
Barcelona – Feyenoord (18.45)
VfB Stuttgart – Viking (18.45)
Liverpool – Atletico Madryt (21.00)
Napoli – Arsenal (21.00)
PSG – Slovan Bratysława (21.00)
Sporting Lizbona – Galatasaray (21.00)
**10.09, czwartek**
Fenerbahce – AS Roma (18.45)
PSV – Szachtar Donieck (18.45)
Bayern – Bodo/Glimt (21.00)
Como – RB Lipsk (21.00)
Manchester Utd. – Sabah Baku (21.00)
Slavia Praga – Lens (21.00)

LIGI ZAGRANICZNE

Z raportu kadrowiczów

### Błysnął nie tylko „Lewy"

Robert Lewandowski ponownie błysnął za wielką wodą – zdobył piątą bramkę w sezonie MLS w szalonym meczu z Toronto, zakończonym hokejowym wynikiem 4:4. Polak zagrał w pełnym wymiarze. W 63. minucie wyprowadził Chicago Fire na prowadzenie, gdy sfinalizował piękną, kombinacyjną akcję. Przed Lewandowskim hit z Interem Miami, w którym gra legendarny Argentyńczyk Leo Messi. Jan Bednarek z Jakubem Kiwiorem zagrali kolejny mecz dla FC Porto. Pierwszy z nich zdobył bramkę w wygranym starciu z Moreirense.

Tak było w TOP 5 w Europie

### Huśtawka Zielińskiego

Prawdziwą huśtawkę nastrojów zaliczył Piotr Zieliński (na zdjęciu), który zagrał z byłym klubem SSC Napoli. Pomocnik Interu Mediolan występował do 72. minuty, a jego zespół przeszedł drogę z piekła do nieba, odwracając losy rywalizacji. Natomiast Arkadiusz Milik został skreślony przez Juventus, który nie wiąże z nim przyszłości. W Ligue 1 o sporym pechu może mówić Maik Nawrocki, który zerwał więzadła krzyżowe w kolanie. W Bundeslidze kilka minut otrzymał Dariusz Stalmach w Werderze Brema, a na ławce przesiedział Oskar Wójcik. Bright Ede również jedynie przyglądał się rywalizacji Deportivo La Coruna z Villarrealem. Matty Cash w zremisowanym meczu Aston Villi z Hull (0:0) zagrał 85 minut.

Jakub Jabłoński

**Bundesliga**
**2. kolejka:** Stuttgart - FC Koeln 4:1, Bayer Leverkusen - Union Berlin 4:0, Borussia Moenchengladbach - Elversberg 3:4, Padeborn - Freiburg 0:1, Werder - RB Lipsk 3:1, Hoffenheim - Borussia Dortmund 2:3, Schalke - Bayern 0:0.

**La Liga**
**4. kolejka:** Real Betis - Real Madryt 1:0, Athletic Bilbao - Atletico Madryt 3:0, Rayo Vallecano - Real Racing - 3:2, Villarreal - Deportivo La Coruna 2:3.

**Ligue 1**
**3. kolejka:** Lyon - Auxerre 3:1, PSG - AS Monaco 1:2, Lens - Lorient 0:1, Le Havre - Brest 1:2, Nice - Le Mans 1:1.

**Premier League**
**3. kolejka:** Ipswich - Liverpool 0:2, Newcastle - Bournemouth 2:2, Brentford - Sunderland 1:1, Brighton - Leeds 1:1, Fulham - Crystal Palace 2:3, Manchester City - Coventry City 1:0, Nottingham Forest - Tottenham 0:0, Hull City - Aston Villa 0:0.

**Serie A**
**3. kolejka:** Genoa - Como 1:4, Fiorentina - Torino 1:2, Inter - Napoli 3:2, Roma - Atalanta 2:1.

FOT. AGRZEGORZ WAJDA

eprasa.pl bb0228af9d

SIATKÓWKA

# W mistrzostwach Europy walka toczy się o medale i bilet na igrzyska. Złoto jest w naszym zasięgu

Artur Bogacki

**9 września rozpoczną się mistrzostwa Europy mężczyzn. Stawka jest wyższa niż zazwyczaj, bo w puli jest też kwalifikacja olimpijska na igrzyska w Los Angeles 2028. Wśród kandydatów do złota są Polacy.**

Biało-Czerwoni bronią zresztą tytułu z poprzednich ME (w 2023 r.). Rok temu na mistrzostwach świata zdobyli brąz, a w tym sezonie okazali się najlepsi w Lidze Narodów. Teraz też powalczą o 1. miejsce, dodatkowo premiowane – jako jedyne w ME – olimpijską przepustką. Zdobycie jej już teraz znacznie ułatwiłoby późniejsze przygotowania do najważniejszej imprezy czterolecia.

– Super byłoby wygrać mistrzostwa Europy, bo mieć pewny awans na igrzyska olimpijskie dwa lata wcześniej, to jest wielki handicap i tak naprawdę spokojna głowa. Wierzę, że to jest w naszym zasięgu – przyznał rozgrywający naszej reprezentacji Marcin Komenda. – Mam nadzieję, że po prostu będziemy grali naszą najlepszą siatkówkę w tych najważniejszych fazach. Ja już się nauczyłem przez to życie sportowe, że możemy mieć wysokie cele, natomiast do każdego meczu musimy podchodzić w stu procentach skoncentrowani. Wtedy, jestem przekonany, będzie dobrze.

Dodał: – Mam nadzieję, że będzie złoto. Pokora musi być, bo sport nie lubi zbyt dużej pewności siebie. Dlatego złoty medal jest marzeniem, ale myślę, że każdy będzie sukcesem.

Kto będzie największym rywalem do końcowego zwycięstwa? – Słowenia, Francja, na pewno Włosi. W naszej grupie są Bułgarzy i Ukraińcy, którzy może nie są głównymi faworytami, ale na pewno mogą być takim „czarnym koniem". Nie chciałbym o nikim zapomnieć, wiemy, że jest kilka mocnych ekip i na pewno już 1/8 i 1/4 finału będzie na bardzo wysokim poziomie – zaznaczył Komenda.

ME, z udziałem 24 ekip, mają rozbudowaną formułę. Polacy w pierwszej fazie w grupie B w Sofii zagrają pięć spotkań, kolejno z: Portugalią (10.09), Izraelem (12.09), Macedonią Płn. (13.09), Ukrainą (15.09) i Bułgarią (16.09). Z tego grona w zasadzie tylko dwie ostatnie ekipy to szeroka światowa czołówka. Zresztą trener Nikola Grbić powtarza, że ta najwyższa forma ma być na decydujące mecze w turnieju. Nikt nikogo nie lekceważy, ale nie ma co ukrywać, że z większością rywali w pierwszym etapie Biało-Czerwoni powinni wygrać, nawet bez walki na pełnej mocy.

– Przeciwnicy na początku może nie są z najwyższej półki, ale to są zawsze trudne mecze, bo na rywalach nie ciąży żadna presja. Na nas – już owszem, więc trzeba będzie się w pełni skoncentrować, bo tam też są zawodnicy, którzy potrafią grać w siatkówkę – zastrzega Komenda. – Myślę, że sztab szkoleniowy zadba o to, żebyśmy byli w wysokiej formie już w ostatnich meczach fazy grupowej.

FOT. WOJCIECH MATUSIK

**Marcin Komenda jest rozgrywającym. Siatkarz pochodzi z Krakowa, a w ostatnich sezonach występował w barwach drużyny z Lublina**

Bo patrząc na drabinkę, dobrze jest zająć pierwsze miejsce w grupie.

Polacy w tym sezonie wygrali Ligę Narodów, ostatnio Memoriał Wagnera, pokonując trzy mocne zespoły: USA, Słowenię i Francję (a w ostatnim teście, w sobotę, pokonali w sparingu Finlandię 4:0). Czy to nie uśpi czujności przed ME?

– Trener na to nie pozwoli. Bardzo zwraca uwagę na to, żebyśmy nie pomyśleli, że jesteśmy już nie wiadomo jak dobrzy. W Memoriale Wagnera też były momenty, z których nie jesteśmy zadowoleni, trener nam je pokaże. Mamy na tyle świadomych zawodników, że raczej „głupoty" w głowie nam nie będą – kończy zawodnik. ©℗

WOKÓŁ PKOL

# Bezkrólewie w Polskim Komitecie Olimpijskim, czyli jak się bawi towarzystwo wzajemnej adoracji. Jest już pierwszy chętny zastąpić Radosława Piesiewicza

Paweł Wiśniewski

**Po raz kolejny okazało się, jak słabe, beztroskie i konfliktowe jest nasze środowisko sportowe. Za nami tygodnie smutnej, wręcz żenującej groteski z udziałem szefa Polskiego Komitetu Olimpijskiego w roli głównej... A co przed nami?**

Pojęcie „działacz sportowy" dawno już przestało kojarzyć się pozytywnie. Nieco lepiej brzmi „menedżer sportowy", ponieważ - przynajmniej teoretycznie - wie, jak zarządzać w oparciu o konkretną wiedzę biznesową, finanse i strategię. Ale też ma problem, bo nie jest z układu i chce dużo pieniędzy.

Polski Komitet Olimpijski to dziwna organizacja. Niegdyś przechowalnia dla kacyków reżimu komunistycznego, dzisiaj miejsce generujące skandale i zepsucie moralne. Właśnie znaleźliśmy się w momencie, kiedy instytucja odpowiedzialna za promocję sportu i idei olimpijskiej przestała być wydolna.

Prezes PKOl aresztowany na trzy miesiące z zarzutami płatnej protekcji oraz zaspokojenia grupy wierzycieli giełdy kryptowalut Zondacrypto z pokrzywdzeniem innych w związku z grożącą niewypłacalnością. Nie przyznaje się do winy.

FOT. ADAM JANKOWSKI/POLSKA PRESS

**Dzisiaj Polski Komitet Olimpijski na pewno nie jest „We Are One Team". Więcej koterii towarzyskich niż zdroworozsądkowego myślenia**

Zaistniałą sytuację próbuje ratować jeden z wiceprezesów PKOl - Mieczysław Nowicki, który decyduje się działać zgodnie z art. 50 Statutu („Podczas nieobecności Prezesa PKOl jego uprawnienia wykonuje wyznaczony przez niego Wiceprezes Zarządu"). Działając z upoważnienia aresztowanego prezesa, zwołuje na 8 września - a więc na najbliższy wtorek - posiedzenie prezydium zarządu PKOl (oprócz aresztowanego prezesa to 16 osób, w tym 8 wiceprezesów).

Część skłóconego gremium chce jednak więcej - domaga się zwołania na ten sam dzień posiedzenia całego zarządu PKOl, by formalnie odwołać Radosława Piesiewicza z funkcji prezesa...

Jednak najciekawsze dopiero przed nami. Z problemami PKOl zapoznał się Międzynarodowy Komitet Olimpijski, który sugeruje trzy możliwe scenariusze. Najbardziej pożądaną ma być oczywiście dobrowolna rezygnacja prezesa, na co jednak nie można liczyć... Druga możliwość to rozwiązanie sprawy wewnątrz PKOl, czyli zawieszenie albo odwołanie prezesa przez organy komitetu. Trzeci scenariusz zakłada już bezpośrednią interwencję Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.

A co jest najbardziej realne?

Otóż wydaje się, że dzisiaj działacze są totalnie niewydolni organizacyjnie. Co gorsza, mogą podejmować decyzje pod presją polityczną. Prezydium PKOl zapewne się odbędzie, ale... praktycznie nic nie ustali. Za dużo jest bowiem rozbieżnych interesów.

Wiemy już natomiast, że posiedzenie 60-osobowego zarządu PKOl ma odbyć się w ciągu siedmiu dni od zaplanowanego na wtorek spotkania prezydium.

I wówczas, w myśl art. 21. Statutu, wobec „niemożności pełnienia funkcji przez prezesa PKOl", na mocy uchwały, powierza ją - do końca kadencji - jednemu z wiceprezesów. Tutaj mogą już jednak zacząć się „schody", gdyż chętnych jest kilkoro...

Zakładając dobre intencje działaczy, możliwe jest odwołanie z grona zarządu Piesiewicza jako osoby, która - zgodnie z pkt 3 art. 19. statutu - „nie wywiązuje się ze swych obowiązków lub swoim postępowaniem narusza statut lub dobre imię PKOl". W tym przypadku do przegłosowania uchwały konieczna jest większość dwóch trzecich głosów przy obecności co najmniej dwóch trzecich liczby osób uprawnionych do głosowania, czyli 40 z 60 członków zarządu.

Kadencja obecnych władz PKOl trwa do wiosny przyszłego roku.

Jako pierwszy akces do objęcia schedy po Piesiewiczu zgłosił Robert Korzeniowski. Czterokrotny mistrz olimpijski w chodzie podjął jednocześnie decyzję o zakończeniu kontrowersyjnej współpracy z Ministerstwem Sportu i Turystyki. Ubiegając się o eksponowane stanowisko, zapewne przedstawi konkretne efekty tej działalności, gdyż mało nie kosztowała...

eprasa.pl bb0228af9d

SIATKÓWKA

# Polskie siatkarki w strefie medalowej mistrzostw Europy. Italia za mocna

Zbigniew Czyż

**Reprezentacja Polski siatkarek przegrała w półfinale mistrzostw Europy z Włoszkami, aktualnymi mistrzyniami świata i mistrzyniami olimpijskimi 0:3 (19:25, 19:25, 25:21, 16:25. W niedzielę Biało-Czerwone walczyły o brąz.**

Podczas europejskiego czempionatu polski zespół z meczu na mecz spisywał się coraz lepiej, prezentując coraz wyższą formę. Polki wygrały wszystkie spotkania w fazie grupowej. Straciły tylko seta w starciu z Łotwą oraz dwie partie przeciwko Turcji. W ćwierćfinale Holenderkom pozwoliły ugrać tylko jednego seta. W półfinale podopieczne trenera Stefano Lavariniego trafiły jednak na aktualne mistrzynie świata i mistrzynie olimpijskie, reprezentację Włoch.

### Spełnione marzenia

– Od początku tego sezonu cały zespół marzył o tym, żeby wystąpić w półfinale mistrzostw Europy. Gra przeciwko tej drużynie to zawsze zaszczyt. Mają świetnie zbalansowaną drużynę, z niesamowitymi atakującymi i środkowymi. Musimy ich zaskoczyć swoją grą i dać z siebie wszystko. Musimy po prostu grać według własnego stylu – mówił przed meczem Stefano Lavarini, trener reprezentacji Polski.

Plan zaskoczenia rywalek udało się zrealizować tylko w niewielkim stopniu, bo poza trzecim setem, Polki nie miały za wiele do powiedzenia w starciu z Italią. Biało-Czerwone przegrały przede wszystkim w bloku (4-18), który w tym turnieju był ich dużym atutem. W dwóch pierwszych partiach, przeciwniczki od początku narzuciły swoje twarde warunki, kontrolując przebieg wydarzeń na parkiecie.

W trzecim secie włoski zespół spuścił nieco z tonu, co nasze siatkarki skrzętnie wykorzystały. Po ataku Julii Szczurowskiej, Polki wygrały tę odsłonę do 21 dając jeszcze nadzieję polskim kibicom na walkę o awans do finału.

W czwartym secie wszystko wróciło jednak do normy. Wystarczył moment i podopieczne Julio Velasco odskoczyły na trzy oczka 4:1. W dalszej części seta Włoszki dominowały na parkiecie w każdym elemencie siatkarskiego rzemiosła. Mecz skutecznym kontratakiem zakończyła Danesi 25:16 i to Italia awansowała do finału. Tym samym, mistrzynie świata przerwały serię siedmiu zwycięstw w turnieju polskiej reprezentacji. Najwięcej punktów dla Polski zdobyły Szczurowska 15 i Czyrniańska 12, dla Włoch, Egonu 20 i Antropova 14.

### Waleczności nie zabrakło

– Na pewno nie brakowało nam waleczności, nie poddałyśmy się po przegraniu dwóch pierwszych setów. Musimy też pamiętać, z kim przyszło nam się zmierzyć, to bardzo doświadczone zawodniczki – powiedziała po meczu środkowa Magdalena Jurczyk.

Polki w niedzielę walczyły o brązowy medal mistrzostw Europy z Serbią. Spotkanie rozpoczęło się już po zamknięciu naszego wydania, podobnie jak mecz o złoty medal pomiędzy Włoszkami, a gospodyniami turnieju Turczynkami. Tegoroczne mistrzynie Europy – w nagrodę – pojadą na igrzyska olimpijskie w Los Angeles.

FOT. EAST NEWS

W półfinale Włoszki okazały się za silne, ale turniej był udany dla Polek

TENIS

# Ciężki bój z Bouzkovą, a dziś jeszcze cięższy z Qinwen

## Świątek miała trudną przeprawę z wymagającą Czeszką, a o ćwierćfinał US Open zmierzy się z Chinką, której uległa w półfinale igrzysk w Paryżu

Jacek Kmiecik

**Iga Świątek po emocjonującym, trwającym 2,5 godziny boju pokonała w trzeciej rundzie wielkoszlemowego US Open w Nowym Jorku Czeszkę Marie Bouzkovą 7:6(3), 7:6(3) i o ćwierćfinał zagra dzisiaj z mistrzynią olimpijską 2024 z Paryża, Chinką Zheng Qinwen.**

FOT. EPA/PAP

Iga Świątek awansowała do IV rundy otwartych mistrzostw USA

Świątek przyznała, że pokonanie Bouzkovej kosztowało ją dużo sił.

- Było bardzo fizycznie, wiele długich wymian. Nie było łatwo - przyznała 25-letnia Raszynianka.

Oba sety rozstrzygnęły się w tiebreakach. W drugim Świątek przy swoim serwisie obroniła trzy piłki setowe.

- Starałam się grać tak, jak o każdy inny punkt. Nie chciałam wywierać na sobie zbyt dużej presji. Gdy jestem dobrze skoncentrowana, to nie zwracam uwagi na wynik. To ten moment meczu, kiedy mogę skupić się po prostu na swoich zadaniach, dzięki czemu gram bardziej stabilnie, niezależnie od stanu rywalizacji. To nie było łatwe, ale właśnie tak czułam się również w tie-breakach - tłumaczyła.

Świątek podkreśliła, że rozstrzygnięcie tak wyrównanych meczów na swoją korzyść wpływa na pewność siebie.

- Cieszę się, że udało mi się przez to przejść. Daje to poczucie, że następnym razem może będzie podobnie, a może pójdzie mi jeszcze lepiej. Choć szczerze mówiąc, każdy mecz to zupełnie inna historia. Po prostu trzeba być solidnym w ataku, cierpliwym i zdawać sobie sprawę, że rywalka może tę jeszcze jedną piłkę wrócić - zauważyła.

Kolejną rywalką będzie Zheng Qinwen, z którą ma bilans 7-1. Jedynej porażki doznała w półfinale igrzysk w Paryżu. Chinka wcześniej w sobotę wygrała z rozstawioną z numerem 22. Amerykanką Madison Keys 1:6, 7:6(3), 7:5, choć w trzecim secie przegrywała już 0:5 i obroniła piłkę meczową.

Mimo zmęczenia Świątek zadeklarowała, że na kolejne wyzwanie będzie gotowa. - Na pewno się zmęczyłam, po prostu intensywność meczu mogła dużo kosztować. I choć był to mecz dwusetowy, to faktycznie długi. Mam jednak dzień przerwy i mogę się spokojnie zregenerować.

„KRÓTKA PIŁKA" ZAMIAST FELIETONU

ADAM GODLEWSKI
szef sportu w Polska Press

## PKO Ekstraklasa to liga o tyle niepoważna, że szczęście miewa w niej kluczowe znaczenie

Generalnie w życiu trzeba mieć szczęście, ale wydaje się, że w PKO Ekstraklasie fart przydaje się jeszcze bardziej niż gdzie indziej. W brutalnych okolicznościach przekonał się o tym ostatnio były już dyrektor sportowy Zagłębia Lubin Rafał Ulatowaki.

Gdy o godzinie 0.30 przedstawiciel Borussii Dortmund skontaktował się w sprawie finalizacji transferu Marcela Reguły, nie tylko „Ula", (ale wszyscy w kierownictwie Zagłębia) był w siódmym niebie. 5,5 miliona euro teraz, plus 2,5 miliona w tej samej walucie w bonusach zabezpieczało najbliższą przyszłość Miedziowych, u których – jak wieść gminna niesie – deficyt budżetowy liczony jest w kwotach (w złotówkach) z siedmioma zerami. Problem w tym, że po cudownej nocy nadszedł niezwykle cierpki poranek – zapoczątkowany telefonem z BVB tuż po godzinie 6.00 z odwołaniem nocnych biznesowych ustaleń – i cały czar prysnął. Ba, ulotnił się bezpowrotnie, bo minęło niewiele ponad kolejne 24 godziny i Zagłębie ogłosiło rozstanie z dyrektorem...

Jak bardzo realia pracy w Lubinie są (nie)poważne – to oczywiście temat na zupełnie inne opowiadanie. Z drugiej jednak strony – można mieć też fart taki, jak Marek Papszun przy Łazienkowskiej – gdzie też w ostatnich latach profesjonalizm nie był czynnikiem dominującym – żeby z opałów wyjść obronną ręką.

Otóż Legia od kilku miesięcy miała problem zablokowanego – także w sensie mentalnym, a nie tylko strzeleckim – Milety Rajovicia. A od kilku tygodni kłopot z lecącą na łeb, na szyję formą zespołu, co mocno wyeksponował Motor Lublin, gromiąc stołecznym zespół w Pucharze Polski aż 3:0. Kryzys – kolejny poważny – stał już przy Ł3...

Tymczasem najpierw – już nocą, kilka godzin przed zamknięciem okna transferowego w Danii – FC Midtjylland wypożyczyło bezproduktywnego snajpera, biorąc na siebie pełną jego pensję i zaoferowało godną opcję wykupu. A potem, już w czasie doliczonym ligowego sobotniego meczu z Motorem, nastoletni Kuba Żewłakow strzelił dla słabo grającej w Lublinie Legii dwa gole, które dały wygraną, fotel lidera w wirtualnej tabeli i... święty spokój.

Fakt, Papszun ma niebywały fart. Czy będzie umiał mu pomóc?

eprasa.pl bb0228af9d

LEKKOATLETYKA

# Polka rozbiła bank w Brukseli. Takiego biegania w tym roku świat nie widział

Paweł Wiśniewski

**113 500 dolarów – tyle zarobili Polacy w finałowych zawodach prestiżowego cyklu Diamentowej Ligi. Ponadto Klaudia Kazimierska i Mateusz Kołodziejski otrzymali statuetki – Diamond Trophy, których wartość szacowana jest na ok. 10 000 USD.**

Niekwestionowaną gwiazdą ostatniego w tym sezonie mityngu lekkoatletycznego zaliczanego do „Wanda Diamond League" – „Allianz Memorial Van Damme" w Brukseli była nasza Klaudia Kazimierska.

Tydzień temu, 3 września, Polka, trenująca w Stanach Zjednoczonych (w stanie Oregon), u jednego z najlepszych trenerów średniodystansowych – Jerry Schumachera, obchodziła 25. urodziny.

Na „Stade Roi Baudouin", Klaudia nie tylko wygrała bieg na dystansie 1500 metrów, ale i ustanowiła rekord Polski – 3:54.05! To najlepszy tegoroczny wynik na świecie w tej konkurencji! Swój własny rekord kraju (z „Memoriału Kamili Skolimowskiej" – 23 sierpnia br.) poprawiła aż o 1.54 sekundy!

Drugi raz w historii, Europejka licząca sobie mniej niż 26 lat uporała się w biegu na 1500 metrów z barierą 3:55.00. Ostatni raz, dokonała tego w finale Igrzysk XXIV Olimpiady w Seulu w 1988 roku, Rumunka Paula Ivan z domu Ionescu, której zmierzono na mecie 3:53.96.

Co ciekawe, jak wynika z analiz, Kazimierska przebiegła w Brukseli 1505,3 metra... 3:54.05 to szósty wynik w historii europejskiej lekkoatletyki w biegu na dystansie 1500 metrów.

Międzyczasy Kazimierskiej w Brukseli – 200 m: 30.6 (11. miejsce), 400 m: 1:03.7 (12. miejsce), 600 m: 1:35.5 (11. miejsce), 800 m: 2:06.6 (10. miejsce), 1000 m: 2:38.8 (9. miejsce), 1200 m: 3:09.8 (5. miejsce), 1300 m: 3:24.5 (1. miejsce), 1400 m: 3:39.5 (1. miejsce), 1500 m: 3:54.05 (1. miejsce)

FOT. PAP/EPA

Klaudia Kazimierska jest w tym sezonie nie do zatrzymania

Międzyczasy prowadzącej zawodniczki – 400 m: 1:01.88 Mariska Parewyck (Belgia), 800 m: 2:04.82 Mariska Parewyck (Belgia), 1200 m: 3:09.14 Jessica Hull (Australia)

3:54.05 Klaudii Kazimierskiej jest teraz najwyżej „wycenianym" wynikiem Polek wg tabel World Athletics w konkurencjach biegowych. Prymat wciąż jednak dzierży Anita Włodarczyk z rekordem kraju w rzucie młotem (82.98 m) - 1303 punkty.

- 1254 pkt: Klaudia Kazimierska (1500 m – 3:54.05)
- 1250 pkt: Natalia Bukowiecka (400 m – 48.90)
- 1238 pkt: Grażyna Rabsztyn (100 m pł. – 12.36)
- 1237 pkt: Pia Skrzyszowska (100 m pł. – 12.37)
- 1235 pkt: Irena Szewińska (400 m – 49.28)

Drugim naszym zwycięzcą w finałowym mityngu Diamentowej Ligi w Brukseli został Mateusz Kołodziejski, który - również trochę nieoczekiwanie - okazał się najlepszy w konkursie skoku wzwyż (2.28 m).

Zarówno Klaudia Kazimierska, jak i Kołodziejski , oprócz premii finansowych (odpowiednio 60 000 dolarów za wygranie konkurencji „Diamond+" i 30 000 dolarów za prymat w „Diamond"), otrzymali statuetkę (Diamond Trophy), której wartość materialna szacowana jest na ok. 10 000 dolarów.

Dawid Wegner uplasował się na drugim miejscu w rzucie oszczepem, poprawiając „życiówkę na 87.47 m i awansując na drugie miejsce w polskich tabelach historycznych. Rekord kraju od 2021 roku należy do Marcina Krukowskiego - 89.55 m.

W Brukseli wygrał uznawany za faworyta Rumesh Tharanga Pathirage ze Sri Lanki - 89.04 m.

Organizatorzy zawodów przewidzieli czek na Polak na 20 000 dolarów.

Pia Skrzyszowska - czasem 12.64 - była szósta w biegu na 100 metrów przez płotki (wygrała Amerykanka - Masai Russell - 12.20), a Natalia Bukowiecka siódma na 400 metrów - 51.33 (najszybsza Marileidy Paulino z Dominikany – 48.64).

2000 USD dla pierwszej z Polek i 1500 USD dla drugiej raczej nie robią wrażenia...

**Polscy zwycięzcy cyklu Diamentowej Ligi:**

- 2010 - Piotr Małachowski (dysk)
- 2014 - Piotr Małachowski (dysk)
- 2015 - Piotr Małachowski (dysk)
- 2016 - Piotr Małachowski (dysk)
- 2026 - Mateusz Kołodziejski (wzwyż)
- 2026 - Klaudia Kazimierska (1500 m)

Tegoroczny „Allianz Memorial Van Damme" w Brukseli pozbawił niestety nasz „Memoriał Kamili Skolimowskiej" tytułu najlepszego mityngu lekkoatletycznego w Europie w historii.

BOKS

# „Husarz" Knyba pokonał byłego mistrza świata Ruiza Juniora

Jacek Kmiecik

**Damian Knyba (17-1, 11 KO) odniósł największe zwycięstwo w swojej zawodowej karierze, pokonując jednogłośną decyzją sędziów byłego mistrza świata wagi ciężkiej, Andy'ego Ruiza Juniora (35-2-1, 22 KO).**

30-letni Daniel Knyba zaprezentował się znakomicie. Był szybszy, celniejszy i zwrotniejszy, a w siódmej rundzie powalił słynnego Meksykanina Andy'ego Ruiza Juniora na deski, zmuszając sędziego do uznania nokdaunu. „Husarz" z powodzeniem operował z dystansu, regularnie rozbijając twarz „Niszczyciela".

Ruiz próbował odwrócić losy bitwy, odnosił pewne sukcesy, ale sprawne działania Polaka nie pozwoliły mu liczyć na zwycięstwo po 12 rundach mało efektownej konfrontacji.

Sędziowie byli jednomyślni w swojej decyzji, ale wyniki były zaskakujące: 117-110 i niespodziewane wyrównanie 114-113, 114-113.

O siedem lat starszy Ruiz jr (35-3-1, 22 KO) to były mistrz świata WBO, IBF i WBA w wadze ciężkiej. Meksykanin był zdecydowanym faworytem tego pojedynku. Pokonał Anthony'ego Joshuę, Chrisa Arreolę i Luisa Ortiza, ale po dwóch latach przerwy nie zdołał powrócić, co definitywnie zakończyło jego karierę. Bukmacherzy dawali na jego zwycięstwo około 75%, ale reprezentant Polski zawstydził wszystkich sceptyków.

Ruiz poniósł trzecią porażkę w karierze, a jego ostatnie zwycięstwo miało miejsce we wrześniu 2022 roku.

Bilans Knyby to osiemnaście zwycięstw (jedenaście przez KO) oraz jedna porażka. Przegrał w styczniu w Oberhausen z reprezentantem gospodarzy Agitem Kabayelem przez TKO w 3. rundzie w walce o tymczasowy pas WBC.

Polska wojowniczka Klaudia Syguła (8-3) przegrała jednogłośnie z Francuzką Norą Cornolle (10-4) w kategorii koguciej kobiet (do 61 kg) na karcie wstępnej gali UFC Fight Night w Paryżu.

KRÓTKO

Żużel

## Janowski wygrał turniej ME w Niemczech

Maciej Janowski wygrał drugi turniej, z czterech, cyklu żużlowych mistrzostw Europy SEC. W finale zawodów, które w sobotę rozegrano w niemieckim Guestrow, był też Kacper Woryna, ale zajął czwarte miejsce. Drugi był Czech Jan Kvech, a trzeci Duńczyk Michael Jepsen Jensen. Broniący tytułu mistrzowskiego Patryk Dudek zajął dopiero dziewiąte miejsce. Najwięcej punktów w klasyfikacji generalnej, po 24, mają obecnie dwaj Duńczycy: Jepsen Jensej i Leon Madsen. Najlepszy z Polaków, Dudek ma ich 22 i zajmuje trzecie miejsce.
JacK

Żużel

## Tonder wygrał Memoriał Pawła Waloszka

Mateusz Tonder (Śląsk Świętochłowice) wygrał w Świętochłowicach 1. Memoriał Pawła Waloszka. O jego zwycięstwie zadecydował bieg dodatkowy. W nim był lepszy od Dawida Rempały (Speedway Kraków). Trzecie miejsce zajął Robert Chmiel (Cellfast Wilki Krosno). Zawody rozegrano na obiekcie, którego patronem jest zmarły 7 września 2018 r. Paweł Waloszek, wicemistrz świata 1970 i były zawodnik świętochłowickiego klubu.
JacK

Piłka nożna

## Polska ograła Argentynę na inaugurację MŚ U-20

Polki pokonały Argentynki 3:0 w Katowicach w obecności 4,4 tysięcy widzów i prezydenta FIFA Gianniego Infantino w meczu otwarcia mistrzostw świata do lat 20. Bramki zdobyły Oliwia Związek (26), Annika Paz (30, samobójcza) i Maja Zielińska (90+5).
JacK

Kajakarstwo górskie

## Zwolińska szósta w crossie PŚ w Vaires-sur-Marne

Klaudia Zwolińska zajęła szóste miejsce w konkurencji cross na zakończenie zawodów Pucharu Świata w kajakarstwie górskim we francuskiej miejscowości Vaires-sur-Marne. Mateusz Polaczyk był 19. Zwyciężyli reprezentantka gospodarzy Camille Prigent i Brytyjczyk Jopseh Clarke.
JacK

FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

eprasa.pl bb0228af9d

S24 sportowy24.pl

# sport

SIATKÓWKA

**Polki awansowały do czołowej** „czwórki" mistrzostw Europy. Teraz czas na panów
*str. 21 i 22*

PKO EKSTRAKLASA

FOT. SYLWIA DĄBROWA

**Nastoletni Jakub Żewłakow** błysnął w Lublinie, na trudnym dla Legii terenie
*str. 19*

LIGA MISTRZÓW UEFA

**We wtorek startuje faza ligowa** elitarnych rozgrywek. Bez polskiego zespołu, ale z udziałem naszych piłkarzy
*str. 20*

Reprezentantka Polski uzyskała najlepszy tegoroczny rezultat na świecie. W nagrodę dostała 60 000 dolarów i diamentową statuetkę

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

## **Klaudia Kazimierska znakomicie** pobiegła w finale Diamentowej Ligi. Zwyciężyła na dystansie 1500 metrów, bijąc rekord kraju *str. 23*

eprasa.pl bb0228af9d